MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 1 WARSZAWA, 1 STYCZNIA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

BUDOWANIE SAMOWIEDZY NARODU

PRAWO ciągłego odradzania się życia realizuje się w życiu społeczeństw przez odnawianie stanów świadomości. Śmiercią jest społeczeństw stan snu, grzechem zaś przeciwko świętości życia — ociąganie się z myślą: lenistwo, obawa i wstyd myślenia. Odrodzenie bowiem ducha w społeczeństwie tylko wtedy może nastąpić, gdy on słabnące tętno cywilizacji zasili nową dawką świadomości. Niema wogóle w życiu *perpetuum mobile.* Coraz bodźce trzeba wydobywać z siebie. Świat ludzki utrzymuje się w ruchu nakładem myśli twórczej; samo uprzytomnienie sobie tej prawdy jest już początkiem inicjatywy. Czujność duchowa obowiązuje wszystkich, ale jest prerogatywą twórczych sterników, jako inicjatorów.

Naród ma swój żywot objektywny, nie jest przywidzeniem. Ma on przytem swoją drogę historyczną jedyną, która mu się należy; trzeba ją znać, nie można jej zgadywać. Ten przedmiot myślenia jest punktem wspólnym i linją styczną dla wszystkich rodaków, umiejących czuć życie narodowe. Oni tworzą naturalny jeden obóz, pragnący dla narodu wielkości i chwały.

Partje powstają na tle doboru środków, któremi grupy, ze względu na swe nałogi społeczne i warunki pracy, mogą rozporządzać na rzecz wspólnego przedmiotu troski, zasadnicza jednak idea jest wspólna, a jest nią nie co innego, jeno idea nacjonalna stanu. Tej idei wypierać się ze wstydu, obawy czy lenistwa, a nawet jej nie rozumieć — jest grzechem przeciwko patrjotyzmowi. A już wprost głupstwem jest, gdy ktoś w tym obozie narodowym naginać chce sprawy ogólniejsze celu i przedmiotu samego, do kąta widzenia partyjnego. Bo na takiem traktowaniu rzeczy wychodzi najgorzej partja. Gdy naród dojrzewa do aktu odnowienia swojej świadomości, czego nie może przecież uczynić bez wysiłku organizacyjnego, to stronnictwo narodowe, zachowujące się neutralnie wobec tego procesu, staje się odrazu konarem obumarłym.

Uwagi te nasuwają się z powodu popłochu w świecie politycznym na widok rodzącego się Obozu Wielkiej Polski, popłochu umysłowego, który wywołuje malutka myśl: czy też przypadkiem idea obozu nie przybierze postaci nowego, konkurencyjnego stronnictwa, a ściślej: czy też Narodowa Demokracja nie przybiera nowej postaci?

Myśl jest malutka, niegodna i sprawy i chwili. Demokracja Narodowa powstała przed trzydziestu kilku laty jako idea przeciwstawna Socjalnej Demokracji. Nie była wtedy partją, lecz prądem na swój czas takim, jak na obecny moment dziejowy jest obóz Wielkiej Polski.

Tamten wszechpolski prąd odrodzenia nie mógł w warunkach konkretnych życia państwowego stać się partją bez specjalnego przystosowania do techniki politycznej, więc wyłonił z siebie partję Związku Ludowo-Narodowego. Ta partja jest dzisiaj, równie jak inne, w tem położeniu, że musi znaleźć jakiś stosunek do organizacji, tworzonej przez Dmowskiego. Organizacja ta bowiem staje się dla wszystkich partyj narodowych rezerwuarem twórczej siły politycznej, jak była nią kiedyś Demokracja Narodowa, która wyciągnęła naród z impasu duchowego i zrobiła pracę za wszystkie partje. Kadry D. N. były dlatego wielkie, że siłą rzeczy wiele grup zlikwidowała, pociągając z sobą do zbawiania Ojczyzny. Czy tego ludzie z owych grup żałują? Czy wobec rzeczy wiecznej, jaką jest byt narodu, warto się troskać o los efemeryd, jakiemi są partje?

Roztargnienia chwili bieżącej bywają wielkie. Działaczy, traktujących politykę jako system operowania użytecznościami partyjnemi, nie stać na refleksję, że gdyby zsumować wszystkie partje i treść ich mocy twórczej w sprawach narodowych rzucić na szalę, to przeważy je jeden twórczy umysł, specjalnie oddany myśli o dobru całości. Do tego stopnia poglądy i dążenia w partjach się neutralizują lub ograniczają.

Kiedy przed trzydziestu laty Roman Dmowski z towarzyszami począł stwarzać „z niczego“ pierwszy zarys polityki polskiej, położenie narodu było gorsze.

Robiło się pociemku. A jednak ten poryw myśli nadał nowy ruch dziejom Polski. Drugi moment nadszedł dla niego w kilkanaście lat potem, gdy trzeba było wyprowadzić sprawę polską z podziemi na tory międzynarodowe. Złożył dowody, że umie wmyśleć się w los narodu i jego środowiska, że drogę dziejową znaleźć potrafił. Dwa punkty już określają kierunek linji. Dalszy ciąg przed Dmowskim jest jasny.

Ten trzeci moment, w którym obecnie się znajdujemy, jest prostszy jako zagadnienie. Myśl narodowa rozsypała się na szczegóły; w swoich wątłych początkach, gdy wyrastała dopiero z podstaw uczuciowego patrjotyzmu, pozwoliła się zmącić radykalizmem i demagogją. Trzeba ją skupić na rzeczach zasadniczych, przedewszystkiem — czy istotnie, jak Polskę inspirują z boku, ma być ona państewkiem symbolicznem, etapem w drodze do Paneuropy, czy też istnością samodzielną, zdolną do tworzenia dalej swojej cywilizacji.

Trzeba wiedzieć, czego mamy chcieć, a to, czego chcemy, trzeba módz. Człowiek zaś może to, co powinien. To jest podstawa wszelkiej moralności, opartej na wolności wewnętrznej. Co nam może przyjść z wolności politycznej, gdy nie zorganizujemy moralnie człowieka, a potem woli narodu?

Wiedzieć, co się powinno — to wielka praca organizacyjna wewnętrzna, której jednostka oddaje się całe życie przy pomocy całego systemu wychowania, opartego na religji i nauce o moralności. Miałażby zbiorowość w tym względzie być bezradna? Miałażby narodu nie obowiązywać zasada moralności i odpowiedzialności dziejowej? Mogłożby to się obejść bez pracy organizacyjnej nad sobą narodu?

W każdej epoce warunki określają formę organizacyjną tego przejawu woli. W niewoli mieliśmy konspiracje między ludźmi ofiarnymi. Na czas pracy międzynarodowej, skierowanej na zewnątrz trybem dyplomatycznym, formą stosowną był Komitet Narodowy, przenikający placówkami stosunki międzynarodowe. Obecnie, gdy chodzi o porozumienie wewnętrzne, organizacja w typie będzie podobna, ale zwrócona do wewnątrz. Stworzy ona unerwienie czucia i ruchu, mające swoje centra lokalne i hierarchiczne.

Wśród warunków, w jakich pracuje dzisiaj myśl narodu, są też i zabarwione humorem. Mam na myśli objawy obłudy, która się już przełgała. Żyjemy w okresie fałszu, gdy narodowej przeciwstawia się zakonspirowana idea międzynarodówki. Jeden z rzeczników tej drugiej Polski, osobistość w tajnej organizacji widocznie wysoko autoryzowana, bo z wielką odwagą wprowadzająca w błąd rodaków, wyraża zdumienie z powodu naiwności Obozu Wielkiej Polski, że się bierze do roboty już zrobionej. Polska, jego zdaniem, już jest. Ma swoje granice, swoją konstytucję, ciało przedstawicielskie z wyborów powszechnych i „rząd odpowiedzialny przed niem parlamentarnie". „Polska nie znajduje się ani pod okupacją, ani pod dyktaturą, istnieje zupełna możność walki o zmianę rządu i stosunków w drodze parlamentarnej, w pełnem świetle prawa i konstytucji".

Gdyby nawet to wszystko było prawdą, to chodzi o co innego. Chodzi o pracę wewnętrzną narodu odpowiedzialnego za cywilizację polską. Ten sam autor przyznaje oczywiście wszystkie prawa pracy i kulturalnej i organizacyjnej każdemu innemu skupieniu narodowościowemu. Z jego obozu, choć jest Polakiem, rozchodzą się nawet suggestje do tych skupień, aby wyłamywały z państwa polskiego swoje własne aspiracje narodowe w celu tworzenia państwowości odrębnych. Czyżby jedni Polacy mieli się pozbawiać prawa swej świadomości, która jest zarazem ich obowiązkiem, jako o d p o w i e d z i a l n y c h za państwo? Moralność narodowa nie trzyma się konstytucją, lecz jest siłą wewnętrzną obywateli. Autor tych słów tak obłudnych, jakby nie miał w dziedzictwie żadnej nauki wielkich nauczycieli narodu, z tego samego stanowiska swojego powinien mówić ludziom młodym: nie pracujcie nad swoją moralnością, zapiszcie się do klubu, gdzie są doskonałe regulaminy honorowe. Taki sam sens ma ta apostrofa jego do narodu.

Gdyby nawet organizacja państwowa nie obejmowała różnych narodowości, zachęcanych do separacji; gdyby nawet w całej pełni służyła większości do parlamentarnego przeprowadzenia jej woli; gdyby owe ustalone granice nie budziły już żadnej troski: to i wtedy myśl polska nie mogłaby spokojnie zawierzyć losów narodu mechanicznej większości „z wyborów powszechnych". O tem, co ta większość ma myśleć, trzeba pomyśleć. Losy narodu faktycznie muszą spoczywać w ręku optymatów, tych, którzy umieją myśleć i dali dowód odpowiedzialności m o r a l n e j za losy narodu. Na tę prerogatywę naród kulturalny kości rzucać nie będzie.

Naród nie zorganizowany w rdzeniu swej myśli i woli będzie zawsze pod dyktaturą p r z y p a d k u, a to jest najgorszy los, jaki może spotkać cywilizację. Będzie zawsze pod okupacją. Gdy w państwie pozornie wolnem przypadek może sprawić taki układ, że o jego losach będą stanowiły wpływy obce, to będzie stan okupacji moralnej, graniczącej o krok z utratą państwa.

Państwo wie o czynnikach rozkładu ze statystyki więziennej, ale dopiero społeczeństwo, zorganizowane przeciw rozkładowi, może dać państwu świadomość, jaki jest właściwy stan woli narodu. Każdy więc rząd, mający dobre wobec narodu zamiary, musi popierać ideowe jego organizacje, państwo bowiem jest wykonawcą idei narodu. Źle życzy i narodowi i państwu, kto tutaj szuka kontrowersu.

Nowy rok pod dobrą zaczyna się nam wróżbą. Narodziny Obozu Wielkiej Polski są wyrazem budującej się samowiedzy narodu. A ta jedna może uratować nas od anarchji, dać należyty pion naszej postawie i spotęgować siły twórcze.

ZYGMUNT WASILEWSKI

IDEA ORGANIZACYJNA O. W. P.

Toczy się spór o charakter Obozu Wielkiej Polski. Przeciwnicy twierdzą, że powiększył tylko liczbę istniejących partyj; zwolennicy odpowiadają, że stronnictwem nie jest. Słuszność jest nie pośrodku, ale po jednej stronie, odpowiedź wszakże nie jest prosta.

Obóz nie jest stronnictwem nietylko przez zestawienie z przeciętnym typem tak licznych w Polsce partyj, nie jest niem również na miarę angielskich stronnictw: konserwatywnego czy kończących się dziś liberałów. Ma najwięcej wspólnego z organizacją faszystowską we Włoszech, jakkolwiek zewnętrznie tak mało ją przypomina. Jest jednak zarazem tworem nawskroś rodzimym, a podobieństwa wynikają z istotnej wspólności położenia, w którem znajdują się niejednokrotnie ludy jednej cywilizacji.

Powstanie i charakter Obozu związane są najściślej z dwiema cechami naszego młodego życia państwowego: 1) że słabością organizacji państwowej i 2) z luźnym jej stosunkiem do rzeczywistych kształtów i prądów życia narodowego, ze zbyt słabem zespoleniem źle skrojonej formy państwowej z żywą treścią organizmu narodowego, z odrębnością elementów, które winny stanowić jedno.

W jednem z pism zarzucono Dmowskiemu, że nie umie oczyma wolnego obywatela spojrzeć na odbudowane państwo polskie, że widzi w państwowości rzecz stojącą nazewnątrz, poza narodem. Zarzut zawiera część prawdy: twórca Obozu Wielkiej Polski uchwyciwszy sztuczność i faktycznie istniejącą obcość organizacji państwowej, wytworzonej po stu pięćdziesięciu latach niewoli, kleconej w ślepym pędzie naśladownictwa, pod naciskiem obcych sił i myśli, zrozumiał niebezpieczeństwo tego stanu rzeczy.

Przed polityką polską od chwili kiedy proces wytykania granic i formalnego ustalenia wewnętrznego ustroju politycznego został ukończony, stanęło następujące zadanie główne: związanie formy ustrojwej z rzeczywistemi potrzebami, życiem i celami narodu.

Zamach majowy dołączył obowiązek nowy: wytworzenie sił uzupełniających dla osłabłej i mogącej niesprostać trudniejszym zadaniom organizacji państwowej.

Obóz Wielkiej Polski różni się więc od ogółu stronnictw zasadniczo: zakresem celów i ich treścią, szczególnie jeśli chodzi o stosunek do państwa. Stronnictwa są stowarzyszeniami, organizującemi opinję i oddziaływającemi na centralne władze państwowe w duchu swoich programów; przyjmują istnienie wszechmocnego ramienia państwa i stoją na gruncie ustalonego charakteru organizacji państwowej. Obóz stanowi podbudowę niedostatecznej siły państwa i dąży do poprawienia stosunku jego organów do życia narodowego, do wypełniania luk, dzielących niedołężne formy od treści sił skrępowanego w złej organizacji narodu.

Do celów powyższych dostosowany jest inny, niż u ogółu stronnictw ustrój Obozu: mianowanie zamiast wybieralności, dyscyplina zamiast anarchicznego indywidualizmu.

Do faszyzmu jest Obóz zblizony przez swój stosunek do państwa: tak samo umacnia fundamenty jego siły i tak samo dąży do usprawnienia państwa.

Nowa koncepcja polityczna Dmowskiego—Obóz Wielkiej Polski, jest ściśle związana z najwyższą potrzebą współczesnej chwili dziejowej narodu: po długim okresie bytu bezpaństwowego naród uzyskał nagle możność odbudowania państwa; uczyniwszy to bez należytego przygotowania, przyjąwszy formę niezdatną, musi obecnie bez burzenia istniejącej wybudować ustrój nowy, według planu z ducha, potrzeb i celów narodu wysnutego. Zadania tego dokonać ma organizacja przez Romana Dmowskiego powołana do życia.

Że nowoczesne państwo polskie jako ustrój prawny dotąd jeszcze nie powstało, to jest prawdą aż nazbyt oczywistą. Jego władza wykonawcza w osobie najwyższego przedstawiciela, raz tragicznie skrwawiona, drugi raz unicestwiona. Ustrój parlamentarny nie umiał wytworzyć rządu zdolnego naprawdę kierować jego losami. Zgodnie z formą prawną powstające rządy parlamentarne ustępować musiały, nie umiejąc opanować anarchicznych wichrzeń i zamętu.

Budowanie nowoczesnego, narodowego państwa polskiego jest dziełem, wymagającem niemało czasu i wysiłków. Kilka lat nie wystarczy i nie obejdzie się bez okresu twardych rządów absolutnych, bez systemu surowych przymusów zewnętrznych, które zręby państwa wmurują w poczucie prawne narodu.

Spełnienie takiego zadania przerasta siły jednej partji, obarczonej antagonizmami przeszłości, dostosowanej z ducha i organizazji do sejmowładczego ustroju państwa. Dokonać go może tylko naród przez uruchomienie swoich najlepszych sił i skupienie ich przy swoim wodzu, który go nigdy nie zawiódł.

ZDZISŁAW STAHL

DROGI OCALENIA GOSPODARCZEGO

Wielka wojna sprowadziła lub ujawniła tak doniosłe przeobrażenia w całej strukturze gospodarczej świata, że stanowią one zaczątek nowego okresu historycznego, którego dziś ukazują się mgliste zaledwie kształty. Skoro się niedomagania gospodarcze okazały, na razie wydawały się one tylko skutkami przemijającemi wojennego zniszczenia. Z tego stanowiska można było mniemać, że stosunkowo nieznaczne zabiegi, przywracające w miarę możności stan Europy z przed wojny, zdolne są odnowić jej równowagę i pomyślność gospodarczą. Głośna rozprawa Keynesa w głównej swej myśli stanowiła właśnie wyraz dosadny takiej nadziei.

Zabiegów takich w tym kierunku poczyniono wiele i bardzo wielkim kosztem, jakby nie dbając o to, że restauracja polityczna stanu przedwojennego wznawia tkwiące w nim właśnie przyczyny światowego kataklizmu i zamiast rozwiązywać komplikuje sploty sytuacji europejskiej. Coraz więc częściej dają się słyszeć głosy, dopatrujące się w obecnym przełomie gospodarczym nieuniknionych konieczności dziejowych. Zaczyna się rozumieć pospolicie, że wojna raczej odsłoniła i przyśpieszyła przewrót, dotychczas przed naszemi oczami ukryty wskutek powolności i nieznaczności przygotuwujących go w okresie przedwojennym przeobrażeń.

Dziś już truizmem i kamunałem stało się stwierdzanie t. zw. „końca Europy“, polegającego oczywiście nie na obróceniu się w perzynę dorobku cywilizacji europejskiej, jak w starożytnej Chaldei czy też Assyrji,

lecz na tem, że kraje i rasy inne w rozwoju swym dopędzają naszą część świata i że zatem monopol przemysłowo—kapitalistyczny, zdobyty przez Europę w ubiegłem stuleciu, przestał być monopolem.

Po Stanach Zjednoczonych i Japonji zaczęło następować w tempie nadzwyczaj szybkiem uprzemysławianie się zarówno zacofanych dotychczas w tym względzie krajów samej Europy, jak krajów pozaeuropejskich będących doniedawna na wielką skalę odbiorcami europejskiej produkcji: Chin, Indyj, Brazylji, Australji, Poł. Afryki i t. d. Wojna, przecinając europejskie do tych krajów dostawy, proces ten znakomicie posunęła, a niszcząc zarazem kapitał europejski (najboleśniejniej największy, francuski), zredukowała nawet jego rolę finansowania i organizowania usamodzielniających się rynków.

Tymczasem, gdy przemysł europejski oparł cały swój rozwój dotychczasowy na rynkach zewnętrznych, cała struktura, nawet liczebność europejskiej ludności przystosowała się była do jego poziomu. To też te kraje szczególnie, które przed wojną osiągnęły wysoki stopień uprzemysłowienia, z nielicznemi wyjątkami przechodzą dziś przesilenie przewlekłe i ciężkie. Skoro dotychczasowi odbiorcy odpadają, zadowalając się produkcją własną, wytwórczość, poprzednio na ich pokup obliczona, musi się redukować. Rezultatem zaś tego jest klęskowe bezrobocie, w Europie dotykające już kilku miljonów robotników, co z rodzinami stanowi pokaźny odsetek ludności, przytem nieuchronnie rosnący. Przerzucenie bezrobotnych do pracy innej jest niemożliwością. W krajach przemysłowych możnaby tego dokonać tylko przez osadzanie ich na roli, a tej niema. Dla emigracji zaś terenów jest coraz mniej. Zresztą ani do emigracji ani do przejścia na rolę robotnik europejski nie jest skory.

Sytuacja Europy jest tedy katastrofalna i co gorsza beznadziejna. Z jednej bowiem strony kapitał, rozproszkowany w towarzystwach akcyjnych, a kierowany częstokroć przez aparat niemrawy, zbiurokratyzowany, do spokojnych zysków nawykły, stracił swą dawną ruchliwość kupiecką i nieomal korsarską nieraz przedsiębiorczość, co cechowała zaranie jego rozwoju. Z drugiej zaś strony robotnik, przyzwyczajony do komfortu życiowego i przywilejów ustawodawczych, nie jest ani zdolny ani chętny do konkurowania na rynkach pozaeuropejskich z robotnikiem tamtejszym tantością swojego wyrobu. Wobec tego wszelkie środki ratunkowe, przez Europę przeciw przesileniu podejmowane, mają przeważnie charakter paljatywów, w skutku swym raczej potęgujących przesilenie. Subsydjowanie przez państwo przemysłu albo eksportu, utrzymywanie z funduszu publicznego bezrobotnych, inflancja banknotów są to objawy, oczywiście nieuniknione niestety i doraźnie konieczne, zjadania zapasów i oszczędności, ubożenia podstaw gospodarczych przyszłości.

Twierdzenia powyższe płyną nie z pesymistycznego nastroju, lecz są wynikiem ścisłej analizy. Zamykaniem oczu na wymienione procesy i fakty im się nie zaradzi. Przeciwnie, o ile chce się zło konieczne uczynić mniej dotkliwem, fakty te należy wziąć za przesłanki do dalszych rozważań. W literaturze angielskiej, szczególnie niemi z natury rzeczy zainteresowanej, są już one powszechnie stwierdzone. Wymienię choćby niedawno wydaną pracę Stoddarda: „*The Social Classes in postwar Europe*,“ która na tem niezbitem podłożu snuje już analizę dalszą.

Dla nas szczególnie interesujące jest, jakie odbicie procesy te znajdują w Polsce i jakie tu są widoki i mogą być użyte sposoby walki z kryzysem gospodarczym. Zagadnienie te doniosłości niezmiernej rozstrząsa Roman Dmowski w jednej z ostatnich rozpraw swoich p. t. „Kwestja Robotnicza wczoraj i dziś“. *) Śladem tej pracy, napisanej nadzwyczaj żywo i interesująco, pozwolę sobie zabrać pokrótce głos w tej zajmującej, o światowym zakresie, dyskusji, trzymając się w zasadzie założeń i wskazań znakomitego autora. Poprzestać muszę oczywiście na rzeczach bardzo ogólnych, do poszczególnych konjuktur mogących nie mieć zastosowania, atoli ważnych do zrozumienia ogólnej atmosfery, z którą każda produkcja w pracy swej liczyć się musi.

Dmowski stwierdza, że przesilenie powszechne poważnie zahaczyło i Polskę. Istotnie, dzielnice jej najbardziej uprzemysłowione, t. zn. Królestwo Kongresowe i Śląsk, pracowały przed wojną przedewszystkiem na eksport. Można atoli zauważyć, że większa część tego eksportu kierowała się na rynek wewnętrzny państw, w których skład te dzielnice podówczas wchodziły. Że zaś jednocześnie konkurencja zbożowa państw zaborczych utrudniała należyty rozwój rolnictwa w Kongresówce, na kresach, a poniekąd i w Małopolsce, tedy w nowy okres i Polska weszła z jednostronną budową gospodarczą, wprawdzie równoważoną w mierze znacznej przez nadwyżki rolnictwa wielkopolskiego. Przecięcie zaś więzi politycznych dawnych, jakkolwiek sprzyja postępom gospodarstwa wiejskiego, ale zaznacza się po sztucznem ożywieniu, polegającem właściwie na samej tylko odbudowie warsztatu przedwojennego kosztem inflancji — bardzo ciężkiem przesileniem w przemyśle.

Ratunek i tu — gdyby taki komu w głowie świtał — nie może polegać na powrocie do przedwojennego stanu politycznego. Z jednej bowiem strony Rzesza przeżywa kryzys bez porównania cięższy i trudniej uleczalny, niż Polska, a liczbę bezrobotnych ma kilkakrotnie większą, z drugiej Rosja sowiecka, ostatnio również silnie dotknięta nadprodukcją przemysłową, wskutek eksperymentów komunistycznych utraciła poważniejszą pojemność rynkową. Czyli i zamykanie przed polskim przemysłem obu granic, w którem się domyślamy radzi względów i natchnień politycznych, ma podłoże ekonomiczne. To też raczej jest dlań faktem pomyślnym, że znalazł się dziś poza obrębem szczególnie cierpiących organizmów gospodarczych. Ale i ratunek Polski przed przesileniem ma dotychczas najczęściej ten sam paljatywny charakter, co gdzieindziej: i tu mamy do czynienia z subsydjowaniem przez państwo eksportu (np. w cukrownictwie), i tu dostrzegamy utrzymywanie rzesz bezrobotnych z funduszów publicznych, co uszczupla w drodze fiskalnej kapitał, w Polsce szczególnie ubogi i raczej hodowli wymagający.

Tymczasem zaś w istocie warunki zasadnicze bytowania gospodarczego Polski różnią się bardzo korzystnie od więcej uprzemysłowionych krajów Zachodu. Struktura bowiem społeczno-zawodowa jej ludności nie doznaje tak fatalnej hypertrofji klas przemysłowych, jaka cechuje zwłasza Anglję i Niemcy. Już to przecież jest faktem dla rozwoju gospodarczego Polski nader zbawiennym, że, jakkolwiek nie może marzyć o powrocie do swej dawnej przedrozbiorowej roli śpichlerza Europy, wszakże jest pod względem plonów rolnych najzupełniej i bezwątpienia samowystarczalna, a nadto posiada wręcz szerokie jeszcze możliwości, w niektórych zwłaszcza dzielnicach, znacznej intensyfikacji swego rolnictwa. Jest to dowodem, że

*) Jest do nabycia w adm. „Myśli Narodowej“. Cena 80 gr. — Prz. Red.

Polska nie tylko nie choruje na przeludnienie przemysłowo-miejskie, ale przeciwnie ma zapewnione na długo jeszcze warunki pokaźnego przyrostu ludności, o wiele pomyślniejsze, niż warunki Francji, Anglji czy Niemiec.

Z tego zaś wynika, że upadek przemysłu bynajmniej nie grozi Polsce, o ile go zechce umiejętnie bronić, że raczej jest ona podobna możliwościami dalszego rozwoju do krajów naradzającego się przemysłu, jak Włochy, jak Australja albo Afryka Południowa, że w dziedzinie przemysłowej powinna być raczej czynnikiem, niż ofiarą przesilenia europejskiego.

Ceniąc należycie wysiłki przemysłu polskiego do odzyskania, utrzymania lub zdobycia rynków obcych, należy jednak przestrzegać go przed jednostronnością i niebezpieczeństwem tego kierunku zbytu. Skoro istotą kryzysu krajów, eksportujących wytwory przemysłowe, jest zaspakajanie potrzeb odnośnych przez produkcję miejscową krajów dotychczas importujących, tedy zgodnym z tendencją dziejową kierunkiem naszego rozwoju przemysłowego byłoby zwrócenie głównego wysiłku i uwagi na rynek wewnętrzny.

Mamy dwie przeszkody na tej drodze. Jedną stanowią przyzwyczajenia przemysłu, a poniekąd i konsumenta, związane z utartemi przedwojennemi szlakami wymiany. Zespolenie gospodarcze dzielnic polskich jeszcze nie jest w całej pełni dokonane. Przemysłowiec częstokroć żali się na utratę rynku dotychczasowego, dziś zewnętrznego, a nie umie niekiedy zadbać o zastąpienie go bliższym i własnym. Konsument również siłą bezwładu szuka nieraz wyrobów, z któremi się oswoił i nie potrafi znaleźć bliższych, choć są częstokroć lepszemi.

Drugą, bardziej istotną przeszkodą, jest mała pojemność polskiego rynku wewnętrznego. Nizki jest poziom potrzeb kulturalnych w masach najliczniejszych. Np. nawet robotnik, pomimo stosunkowo wysokich zarobków, jako konsument nie stanowi dla przemysłu odbiorcy szczególnie interesującego. Tembardziej dotyczy to ludu wiejskiego. Należy wszakże powiedzieć, że i te potrzeby, jakie faktycznie istnieją i przed wojną były dla przemysłu poważną podstawą, dziś są zdeprymowane przez drożyznę wyrobów przemysłowych.

Składa się na nią bardzo wiele czynników. Wchodzi tu w grę i fiskalizm przesadny, wraz z etatyzmem hamujący przedsiębiorczość, i zestarzenie się maszyn, za drogo produkujących, i rozrzutna czasami czy też niedość umiejętna organizacja przedsiębiorstw, i zwłaszcza brak lub drożyzna kapitału kredytowego. Z chorobami temi, nic w sobie fatalnego nie zawierającemi, rozważna walka jest możliwa i konieczna. Źródłem tych nieszczęść, bądź co bądź wtórnych, jest nieułożenie się właściwego stosunku robotnika do pracy, która przecież jest wylęgarnią i kapitału finansowego, i zasobów skarbu państwa, i doskonalenia techniki przemysłowej, i organizacji przedsiębiorstw. Nie znaczy to, że robotnik w Polsce jest zły lub że się ma niezasłużenie dobrze. Przeciwnie, daleko nawet poza granicami kraju uchodzi za pierwszorzędny materjał.

Gdy wszakże przemysł, obliczony na eksport, na nieograniczone rynki, ma z natury rzeczy tendencję do bardzo wysokich zarobków i jest zdolny do dzielenia się niemi tak z przemysłem pomocniczym krajowym, jak z personelem, polepszając warunki jego pracy i bytu, to przemysł, obliczony na rynek wewnętrzny, w tak szczęśliwych okolicznościch się nie znajduje. Oparcie bowiem produkcji o rynek wewnętrzny wytwarza wzajemność przysług i wymiany gospodarczej rozmaitych klas producentów, a w miejce spekulacji na odbiorcach i walki klasowej wprowadza wspólną ich kooperację naturalną i hierarchję społeczną, wysnutą z rozumienia widocznych współzależności ich stopnia dobrobytu. One stanowią i o granicach uposażenia robotniczego. Znaczną korektywę wprowadza tu wprawdzie i rozwój konsumcji robotniczej, i stosunek wydajności pracy rolnika a robotnika, i wreszcie takie ustosunkowanie liczebne ludności przemysłowej i rolnej. Wszakże z zastrzeżeniami temi przemysł, liczący na rynek krajowy, nie może dać robotnikowi przemysłowemu wyższej stopy życiowej, niż jaką ma masowy odbiorca jego wyrobów, to znaczy włościanin. Musi ich stopa życiowa z jednego poziomu *caeteris paribus* wychodzić i u obu równomiernie się podnosić, oby w tempie najszybszem.

Zdobycie więc, opanowanie i pogłębienie rynku wewnętrznego wymagać będzie znacznych ofiar ze strony wszystkich klas przemysłowo-miejskich. To też wbrew przestarzałym formułkom demagogicznym nawet proletarjat zrozumieć winien, iż w strukturze społecznej kraju jest dziś w znacznej swej liczbie raczej uprzywilejowaną poniekąd warstwą, niż upośledzoną i że praca jego częstokroć już nie wytwarza dla klas innych t. zw. nadwartości, lecz przeciwnie płaca jego niekiedy zawiera ukryte w cenie towaru subsydjum społeczne. O ile przeto na ofiarę zdobędzie się sam lub mu zostanie narzucona, mieć możemy nadzieję, że wkrótce rozkwit przemysłu na podłożu rozbudowy rynku wewnętrznego uczyni ją znowu zbędną. Jeżeli zaś ratunku z przesilenia będziemy szukać poza odpowiednością cen produkcji przemysłowej i rolnej, przemysł staczać się musi ku ruinie, kraj ku zacofaniu kulturalnemu, robotnik zaś, oburącz trzymając puklerz t. zw. zdobyczy społecznych,—już jako bezrobotny,—ku ostatnim krawędziom pauperyzacji.

Szybkie przemyślenie tej alternatywy, w którym obozie światowej walki gospodarczej kraj ma stanąć, i wyciągniecie z niej zdecydowanie wniosków praktycznych, stanowi poza interesami klas i stonnictw, ponad przemijającemi rządami, — zadanie dziejowe chwili.

WŁODZIMIERZ WAKAR

Z NOWYCH ZAGADNIEŃ

HISTORJA się powtarza—i nie powtarza. Próżno byłoby szukać w niej dokładnego powrotu tych samych wydarzeń, albo tych samych zupełnie prądów. Niewątpliwie jednak w ustawicznych przemianach górują raz te, raz inne dążenia, i narzucają charakter epoce. Świat przeżywał okresy racjonalizmu i materjalizmu, oraz okresy wzmożonego życia wewnętrznego, które posuwało się aż do zrodzenia silnych prądów mistycznych. Żaden zaś okres nie wyłaniał się bez przygotowania. Owszem, widzimy zawsze wybitne nawiązanie do okresu podobnego w historji. Do pewnych rzeczy powraca się, swoiście je co prawda odmieniając. Dlatego nie można mówić o rzeczywistem „powtarzaniu". Dziś, uczuwamy to wszyscy, weszliśmy w nowy okres historji. Może zawcześnie jeszcze szukać jego rodziców. Ale poszukajmy w każdym razie podobieństw.

Katastrofę wojny światowej porównać można co do siły i doniosłości wstrząśnienia, chyba tylko z epoką napoleońską. Poprzedzał tę epokę rewolucji i wojen napoleońskich rozkwit filozofji racjonalistycznej oraz odwrócenie się od pierwiastka religijnego. Rewolucja

francuska, jako dziecko wieku oświecenia, zwróciła się gwałtownie zwłaszcza przeciwko katolicyzmowi. Wyklęto religję z życia społecznego i politycznego. Wiek 18-ty, literatura jego, styl życia, naznaczone zostały wybitnie piętnem kultury czysto intelektualnej i materjalistycznej. Bogiem stawał się człowiek, zabrakło miejsca na Boga nadprzyrodzonego. Stanęły naprzeciwko siebie warstwy „oświecone", których religją było użycie, i masy, w które sączyła się ideologja niewiary, szerzona przez warstwy używające. Zderzenie było gwałtowne, a umożliwił je dopiero brak zupełny pierwiastka religijnego. Czyżby wyprowadzać z tego prawo, że zanik pierwiastka religijnego prowadzi do wstrząśnień rewolucyjnych?

Napoleon, zawierając konkordat z Rzymem, ostatecznie wprowadził we Francji normalne stosunki kościelne. Przedtem jednak nastąpiła już reakcja przeciwko racjonalizmowi i materjalizmowi 18-tego stulecia, reakcja, polegająca na obudzeniu się silnych prądów mistycznych i religijnych. Pierwsze jej oznaki pojawiły się w końcu 18 wieku, chociaż nazewnątrz, kończącą się rewolucję i okres porewolucyjny charakteryzował w nowo tworzącem się społeczeństwie inny, zupełnie zrozumiały odruch po okropnościach przewrotu. Nowe „towarzystwo", dziwna i bujna warstwa, sklejona z ludzi nowych oraz z tej części sfer „*ancien regime'u*", które dobrowolnie albo z musu dostosowały się do nowych warunków, pojawiła się na widowni. Zabawa i myśl o pieniądzu panowała wszechwładnie. Jednak użycie było inne, niż za Ludwików. Burzyła się i szumiała świeża krew, po śmiertelnych dniach trwogi i terroru wybuchł okrzyk: „niech żyje życie!".

W umysłowości natomiast przygotowywał się przewrót daleko idący. Gabriel Hanotaux wskazuje w dużem studjum, „*La transformation sociale sous l'Empire*", drukowanem „*Revue des deux Mondes*" w maju i czerwcu b. r. na niezwykły rozrost prądów mistycznych w owym czasie w społeczeństwie francuskiem. Rosły jak na drożdżach sekty i doktryny mistyczne. „Jednym z epizodów najdziwniejszych w historji myśli ludzkiej—powiada—jest nagłe pojawienie się i rozkwitanie niezliczonych thaumarthurgów, hermetyków, illuminatów, mistyków, theurgów, jak się sami nazywali, ludzi, którzy—ponieważ zaprzeczano istnieniu Boga — dowodzili, że go znają, zbliżają się do niego, dotykają go i prowadzą do zetknięcia się z nim. Nawet myśl wolna — stwierdza p. Hanotaux, — szuka form kultu i organizacji rytualnej". I dalej powiada tenże autor: „Dążenie wszystkich jest to samo: po rewolucji, która zniszczyła budowę przeszłości, należy odbudowywać i naprawiać; otóż, bez wiary. bez ideału, jest to niemożliwe. Szukając pierwiastka porządkującego, umysły zwracają się do religji". Napoleon, powiedział: „Francji, nauczonej nieszczęściami, ostatecznie otwarły się oczy: poznała, że religja katolicka była jedyną kotwicą, która mogła dać jej punkt oparcia we wstrząśnieniach".

Prądy religijne nieustannie rosły w siłę. Czemże innem jest epoka romantyczna, jeżeli nie wybuchem mistycyzmu religijnego? We Francji Chateaubriand pisał „*Le génie du christianisme*", a w Polsce także romantyzm zwracał oczy swoje ku Rzymowi. Mistycyzm religijny naszych wieszczów, mistyka Andrzeja Towiańskiego, oto charakterystyczne znamiona czasu. O Rzym uderzyła twórczość Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego, czasem z nadzieją, a czasem w buncie gwałtownym.

Nadeszły jednak czasy inne. Po epoce wzlotów mistycznych prądy pozytywistyczne i materjalistyczne przemieni oblicze duchowe narodów. W drugiej połowie 19 wieku nastąpił rozkwit tych prądów zarówno w kulturze, sztuce i nauce, jak i w polityce. Okres ten zaznaczył się w stosunkach między kościołem i państwem dużym rozdźwiękiem. Poczęści wyrodziły się w tym kierunku prądy mistyczno-społeczne pierwszego okresu, które niepomne swego mistycznego źródła szły w dalszym rozwoju mimo a nawet wbrew kościołowi. Samo jednak zmaterjalizowanie społeczeństw stało się wystarczającym powodem do rozłamu. Drugą połowę 19-tego wieku charakteryzuje dosłownie walka przeciw religji, a zwłaszcza przeciwko katolicyzmowi. Należy bowiem zauważyć, że inne wyznania religijne albo przesiąkały racjonalizmem i materjalizmem, albo wprost im się poddały. Równolegle z tym procecem kościół katolicki znalazł się na stanowisku coraz bardziej odrębnem i wreszcie najdoskonalej symbolizującem pierwiastek religijny w niesfałszowanej, czystej jego postaci. Przeciwko niemu tedy zwrócono się przedewszystkiem. Drugą połowę 19 wieku cechuje w całej Europie walka z kościołem. Najbardziej pamiętne są stosunki we Francji, we Włoszech, oraz „Kulturkampf" w Niemczech. *Mutatis mutandis*, koniec 19 wieku wykazywał pewne podobieństwa z umysłowością wieku 18-go. I tu i tam przewaga raconalizmu, i tu i tam rozbrat z religją, i tu i tam niezaprzeczony materjalizm, oraz wiara we wszechwładzę rozumu ludzkiego, nauki, techniki.

Zakończył się ten okres wielką wojną światową i jej skutkami. Miljony ludzi patrzyło codziennie śmierci w oczy. Tego się nie czyni bez następstw. Przyszedł okres zwątpienia o tem, co dotychczas było dogmatem. Przeżywamy dzisiaj bankructwo prądów materjalistycznych. Przyrzekały one wyznawcom swoim osiągnięcie szczęścia i zadowolenie pożądań. Skierowały w tym kierunku wszystkie zainteresowania. Rozdział dóbr stał się w polityce społecznej alfą i omegą zagadnień. Tych dóbr jednak jest za mało. I zawsze będzie za mało. Jedyną możliwością ich pomnożenia, które zresztą nigdy nie będzie mogło być dostateczne, jest praca. A wymaga ona innej psychologji, niż psychologja używania. Potrzebna jest psychologja dyscypliny. Gdzież jej szukać?

Widzimy dzisiaj, podobny jak po rewolucji francuskiej, zwrot ku uczuciu religijnemu. Zwrot ten jest znamienny. Rodzą się znowu rozmaite prądy mistyczne i teozoficzne. Budzi się uczucie religijne. Zaczyna się ono wyrażać również w literaturze i sztuce.

Mamy wrażenie, że reakcja przeciw materjalizmowi wieku ubiegłego i skutkom katastrofy wojennej nie skończy się na tych początkowych objawach. Fala wielkiego dobrobytu materjalnego—być może—mogłaby ją przytłumić. Jednak, jak słusznie wykazuje Roman Dmowski, musimy liczyć się raczej z okresem zubożenia. W takich warunkach „religja materjalizmu", jeżeli się tak można wyrazić, wystarczać będzie mniej, niż kiedykolwiek. I ludzkość zwrócić się będzie musiała znowu do pierwiastka, który wskazuje drogę idącą dalej i wyżej. Nie tyle będzie potrzebna wolność, ile dyscyplina, i nietyle żądza praw, ile poczucie obowiązku, to wszystko zaś będzie się musiało dziać w imię jakiegoś celu. Potrzeba nowego ideału. Dyscyplinę można tylko wtedy utrzymać, gdy się o coś walczy, a walczyć można tylko o wielki cel. Okres używania jest zawsze okresem rozluźnienia, okres dążenia, okresem zwarcia dyscypliny. Jeżeli dzisiaj, zewnętrznie rzecz biorąc, szerzyła się w rozmaitych formach chęć niepohamowanego użycia, to nie należy tego objawu przeceniać. Jest on taką samą reakcją na straszne lata wojny, jak była nią podobna chęć użycia po rewolucji francuskiej.

Błędem byłoby jednak wyciąganie z tych analogij wniosku, że idziemy ku nowemu okresowi romatyzmu, albo, że należałoby tę drogę obrać. Historja nie powtarza się w sposób dosłowny.

Uwidoczniając pewne linje równoległe z dziejami z przed stu lat, nie myślimy twierdzić, że rozwój będzie ten sam. Istnieje szereg podobieństw. Ale jednocześnie przez sto lat świat zmienił się zupełnie. Szereg odrębnych warunków narzuca drogi, których nie da się pominąć. Romantyzm jest dla nas epoką i prądem przeżytym. To, co go wywołało, tęsknota do wielkiego ideału, musi znaleźć wyraz inny. Mistycyzm romantyczny odznaczał się brakiem dyscypliny, był spekulacją religijną, bardzo różnorodną, we wszystkich krajach dość odmienną, a zawsze oderwaną od świata. W polityce romantyzm był często „mierzeniem sił na zamiary“, zatracił poczucie rzeczywistości i ostatecznie nie prowadził narodów po drodze jasno wykreślonej. Wiemy, jaki wpływ wywarł w Polsce romantyzm na politykę. Rozłam między rzeczywistością a celem i dążeniem do niego był w nim zbyt wielki, ażeby cel mógł stać się ciałem. Późniejsza epoka „pozytywistyczna“ przytłumiła znów wogóle hasła i cele natury heroicznej. Była to epoka kramarska. I jeżeli dzisiaj, po bankructwie tej epoki, odradzają się w masach dążności wyższe, jeżeli obserwujemy nawrót ku religji, ku katolicyzmowi, to położenie jest inne, niż przed stu laty.

Narody znajdują się dzisiaj w warunkach ciężkich, z których muszą znaleźć wyjście. Chodzi więc o stworzenie celu i ideału, chodzi o znalezienie porywu ku wielkiej drodze. Prowadzi ona oczywiście poza materjalizm 19-tego wieku. Musi być natury duchowej. Bankructwo materjalizmu wyzwala zresztą, siłą rzeczy, pierwiastek duchowy. Jednak w warunkach dzisiejszych pierwiastek ten nie może wybujać w jakieś mgławicowe kształty. Dzisiaj ma on spełnić zadanie realne. Ma uchronić narody od chaosu rewolucji, od zgnilizny i gangreny, jaka rozchodzi się w ich ciele z gnijących pozostałości kultury dziewiętnastego wieku. Zagadnieniem nie jest dzisiaj odłączenie się dążeń wyższych od rzeczywistości, ale synteza tych dwu pierwiastków. Materjalizm doprowadził narody do chaosu. Narody nie szukają dzisiaj ucieczki od rzeczywistości w mgły mistycyzmu. Przeciwnie, narody szukają możności uporządkowania, stworzenia form organizacyjnych, uniknięcia chaosu, w którym musiałyby zginąć i rozłożyć się w konwulsjach konania. Znów zwracając się do pierwiastka duchowego, oczekują one czegoś zupełnie innego, niż to, co mógł dać romantyzm.

Oczekują one motywu porządkującego, organizacyjnego, dyscyplinującego. I dlatego duch religijny zwrócił się dzisiaj wyraźnie ku katolicyzmowi. Katolicyzm bowiem, to katechizm, gdzie jasno, prosto wyłożone są zasady postępowania, to organizacja, to hierarchja, to posłuszeństwo. Katolicyzm to religja, która łączy najwyższe uduchownienie z największą praktycznością. Pozatem katolicyzm, dając logiczny do końca system etyczny oraz określone dokładnie dogmaty wiary, nie dopuszcza do rozpływania się w mistyczną mgławicowość. Jest on antytezą dla pierwiastków niejasności i półcieni.

Mamy wogóle wrażenie, że nie zagadnienia światopoglądu w sensie metafizycznej koncepcji wyłaniają się dzisiaj na pierwszy plan, tylko zagadnienia etyczne w najszerszem tego słowa znaczeniu. Z tą chwilą spekulacja mistyczna traci znaczenie, a zyskuje je etyka, będąca zagadnieniem praktycznem. Sprawa ustroju społecznego, wzajemnego ustosunkowania się ludzi i warstw, to zagadnienia jednocześnie narodowo-polityczne i etyczne. Cóż dziwnego, że praktyczne dążenia polityczne i społeczne spotykają się i szukają oparcia w najpraktyczniejszym i najlogiczniejszym systemie etyki, jaki istnieje na świecie, to znaczy w katolicyzmie.

Po rozłamie, jaki zaszedł między prądami społecznemi a religją, zwłaszcza katolicyzmem, w wieku 19-tym, nadchodzi dzisiaj okres zgody nowych prądów politycznych z religją katolicką. Jednocześnie konieczność uporządkowania i zorganizowania narodów na wewnątrz, oraz zaprowadzenia dyscypliny, wywołuje potrzebę ograniczenia zbyt wybujałej wolności i poświęcenia praw indywidualnych. Dokonać można tego stawiając przed narodem wielki cel i organizując dążenie do niego. Wtedy konieczność dyscypliny narzuca się sama przez się.

Okres powojenny zaznaczył się wszędzie zwrotem prądów politycznych do religji. Widzimy to we Francji. Bardzo zaś wyraźnie zwrócił się do uporządkowania stosunków z kościołem katolickim faszyzm we Włoszech. Ideologja polityczna faszyzmu, wyznającego w stosunkach społecznych współpracę klas, godzi się w tym punkcie z zasadami kościoła, który uczy wzajemnej miłości. Zastanowiano się kiedyś nad pytaniem, czy faszyzm posiada ideologję i doktrynę. Otóż na tem właśnie polega nowość i oryginalność faszyzmu, że jest on doktryną etyczną w szerokiem tego słowa znaczeniu. Stąd silne dążenie do twórczości praktycznej, nie usuwającej jednak zgoła twórczości czysto umysłowej, czysto filozoficznej, kładzie on nawet na nią wielki nacisk. Jednocześnie zmierza faszyzm do celu realnego, jakim jest potęga i wielkość Włoch, stale przez Mussoliniego jako cel jego praktyki ogłaszana. Postawienie tego celu i wprowadzenie narodu na drogę do niego wiodącą, umożliwia faszyzmowi zaprowadzenie dyscypliny, która ginie zawsze przy postojach, a pojawia się jako konieczność w okresach pochodu naprzód.

Polityka Mussoliniego wobec Watykanu zmierza otwarcie do ustalenia jak najprzyjaźniejszych stosunków. Skutki tej polityki widać na zewnątrz w ogromnem poprawieniu się stosunków między Watykanem a rządem włoskim. Czy usunie ona ostatecznie rozdział, datujący się jeszcze z czasów skasowania państwa kościelnego, czas okaże.

W Polsce w ostatnim czasie myśl narodową z wielkim naciskiem skierował ku katolicyzmowi Roman Dmowski, którego potężny umysł wywiera olbrzymi wpływ na kierunek polskiej myśli politycznej. Odnośne jego artykuły, ogłaszane w pismach, oraz przemówienie, wygłoszone na siódmym Zjeździe Katolickim w Poznaniu, kładą mocny nacisk na siłę twórczą katolicyzmu w nadchodzącym okresie dziejów. Artykuły te są w zbyt świeżej pamięci, ażebyśmy je mieli streszczać. Stwierdzamy jedynie fakt, który zdaniem naszem jest niezwykle symptomatyczny i brzemienny w skutki. Widzimy w nim objaw charakterystyczny dla nadchodzącego okresu dziejów.

Dokonywa się na świecie przymierze pierwiastków natury duchowej, zmierzających do organizacji, porządku i dyscypliny. W sferze uczucia religijnego pierwiastki te reprezentuje katolicyzm, w sferze prądów polityczno-społecznych nowoczesny nacjonalizm, który jest prądem heroicznym. Obydwa wymagają poświęcenia od jednostki. Obydwa prowadzą do celów dalszych, niż życie jednego człowieka.

JERZY DROBNIK

DRAMAT ŚWIĘTOŚCI I SZATANA

Sur l'oreiller du Mal c'est Satan Trismégiste
Qui berce longuement notre esprit enchanté,
Et le riche métal de notre volonté
Est tout vaporisé par ce savant chimiste.
Baudelaire, *Fleurs du Mal.*

KSIĄŻKA *) tak pełna głęboko, surowo przemyślanej treści, że aż przeraża sprawozdawcę ciężarem odpowiedzialności. Ale krytyk, więc historyk współczesności, ma też swoje sumienie, które mu nie pozwala milczeć z obawy przed trudnem zadaniem.

Jerzy Bernanos, autor najzupełniej nieznany, swojem „W słońcu szatana" sprowadził na całą Francję myślącą, nie tylko literacką, wstrząs, któremu równego nie pamiętają w tej tak na nowości wrażliwej krainie. Bardzo tam głośno tego roku o tym tomie, i ta wrzawa trochę odstręcza od jego czytania. Ale po przeczytaniu, zaprawdę pamięta się już tylko o dziele, i to pamięcią żywą, gniotącą, zmuszającą do dalszego snucia problemu, narzucającą wyobraźni niemożliwe do strącenia z myśli obrazy.

Książka pisana zresztą bez donkiszoterji i zawadjactwa literackiego. Ma się wrażenie, że autor dzieli się w niej z czytelnikiem nie igraszką swej fantazji twórczej i robotą swego artystycznego kunsztu, choć i jedna i drugi są bardzo niepoślednie. Bernanos podaje nam więcej: swój głęboki dla czegoś podziw, i swe wstrząsające nim całym dla czegoś współczucie.

Spostrzegam się, że okrążam chwilę i punkt wtargnięcia w swój temat. Broni on mi się swą rozpiętością, swem bogactwem, swą wyniosłością. Broni mi się i wymyka z pod mego cyrkla krytycznego. Zmusza mnie do upatrzenia gdzieś jakiegoś profilu, któryby skłonił się do krzepkiego skrótu analitycznego.

Prolog jest czemś w rodzaju naturalistycznej, „*tranche de vie*", jednakowoż jest raczej energiczny niż brutalny. Przytem najwidoczniej opowiadanie nie ma czasu przysiąść na przyziemiu błotnem i bagnistem: ma jakieś skrzydła podnoszące w górę i jakieś serce gnające w pędzie naprzód.

Rzecz dzieje się na zapadłej wsi. Mouchette, z prawdziwego imienia Germaine, o mały włos nie dostała była imienia Lucréce, bo ojciec Malorthy przy swej pracy w browarze kultywował srogie ideały republikanina, pogardzał wszystkiem, co chrześcijańskie i trącące epokę z przed roku 1789. Mouchette ma lat 16 i wracając kiedyś wieczorem ugięła się pod wiadrem świeżego mleka, zbladła i omdlała. Matka odrazu przejrzała prawdę, a ojciec w mig zrozumiał, że da się tu ubić interes polityczny: winowajcą nie mógł być nikt inny, jak głowa miejscowej znienawidzonej prawicy, markiz de Cadignan...

Całe „śledztwo" papy - republikanina przeprowadzone jest ręką mistrzowską. Cadignan przeczy z całą pewnością, bo zawierzył milczeniu Mouchette. Ale Malorthe, który jako tylko - republikanin nie posiada skrupułów w kłamstwie, powiada, że córka mu wszystko wyznała. Nie dowiedziawszy się jeszcze i tak niczego, córce powtarza to samo o kochanku. Ale i to nie pomaga.

Mniejsza o te perypetje. Ważna tu jest tylko Mouchette. „W szesnastym roku Germaine umiała kochać, nie bawić się w marzenie o kochaniu, ale kochać. Hodowała w sobie, jak owoc dojrzały, ciekawość rozkoszy i niebezpieczeństwa, a też i śmiałą odwagę tych, które całe swe szczęście rzucają na jedną kartę, z każdem pokoleniem rozpoczynając na nowo historję świata".

Co za piekło dla Germainy te rozmowy z ojcem i matką, gdzie serca nie widzi, tylko wstyd i wymówki. Serce jej jest tam, u niego w zamku. Po północy wykrada się z domu, idzie do niego, do siebie.—„To ja!"

Rozmowa jest tu niezwykła. Z jego strony cały stek brzydoty, małoduszności, płaskości i nawet nie złego serca, ale braku serca. U niej przeważnie milczenie. Ale milczenie po pewnych odezwaniach się tamtego jest warte tylu słów niewyrzeczonych!

Tylko jedna tyrada: „Ty! którego kochałam, podziwiałam. Ty! boisz się??". Bo Mouchette jest odważna, i lubi odwagę. Brzydzi się tchórzostwem.

Mouchette nie ma nawet czasu zdać sobie sprawy, że jej sny prysły. Zresztą na dworze wichura. Drzwi się rozwarły. Lampa łysnęła czerwono. Wicher stąpa po sieni.

Wtedy właśnie zaofiarował jej 500 franków odczepnego.

Dziwna dziewucha! „Roześmiała się, obie ręce trzymając konwulsyjnie na piersiach, z szyją przechyloną, rzucając w cztery strony starej komnaty, niby hasło bitewne, jeden jedyny dźwięk kryształowy...".

Broń wisiała na ścianie: Mouchette strzeliła z blizka i uciekła oknem, nie zostawiając żadnej poszlaki. Trupa uznano za samobójcę.

Martwe dziecko powiła w szpitalu dla obłąkanych, ale wyszła z niego uzdrowiona — na umyśle.

— Jest sposób i sposób patrzenia na zło. Zależnie od czasu. Spojrzenie czyste może nieubłaganie zło przejrzeć, a nie zbrukać się. Spojrzenie religijne, głęboko, katolicko - religijne, nie odwraca się od zła. Zło jest dla niego życiowym konktretem, który trzeba przerobić. Niereligijnem jest spojrzenie, które z tchórzostwem czy hypokryzją od zła oczy odwraca.

Prolog, „*Histoire de Mouchette*", jest Infernem powieści.

Przejdźmy na górę Czyśćcową: „*La Tentation du désespoir*", „Pokusa rozpaczy".

2. Jesteśmy w tej samej wsi, ale na plebanji. Proboszcz, ks. Menon - Segrais, ma duże zmartwienie ze swym nowym wikarym, ks. Douissan. Dziwny typ wieśniaka nieokrzesanego mimo lat seminaryjnych! Jego przełożeni stale nie wiedzą, co z nim robić. Inteligencja najwidoczniej mała, nie wystarczyła, aby nauczył się jakiegoś minimum światowego obycia czy kultury. Nie umie ani wejść do pokoju nie zawalawszy dywanu, ani podać ręki czerwonej i niechlujnie utrzymanej. Praca duszpasterska? dotąd opłakana. W mieście niema i mowy o nim. Na wsi wieśniacy śmieją sie z tego księdza nieśmiałego, ciężkiego, z gruba ciosanego, szukającego instyktownie najciemniejszego kąta, by się kryć. O kazaniu niema i mowy. Do konfesjonału strach go puszczać.

Ksiądz proboszcz Menon-Segrais, dostawszy tego wikarego z niedobremi referencjami przełożonych, przyjął go z wahaniem, tak jak z wahaniem przesłał go mu był biskup. Od dłuższego czasu trzyma go pod obserwacją i jest pełen głębokiej troski z powodu zadania, jakiem go obarczono. Od jego opinji zależą losy tego młodego duchownego. Ksiądz Menon - Segrais musi przyznać, że, na rozum biorąc, wszystkie szczegóły za-

*) Georges Bernanos, *Sous le soleil de Satan*, Paris. 1926. Plon.

chowanie się i praca wikarego, wskazują na szkodę, jaką może siać koło siebie. Tylko że w głębi swego uczciwego serca starzec czuje u tego młodego jakąś zaklętą tajemnicę wartości, która nie pozwoli mu go odepchnąć, mimo że przełożeni najwidoczniej takiego świadectwa oczekują.

Zapewne wszelkie rady nie skutkują. Kwadratowa głowa ks. Douissan nie jest w stanie objąć czegokolwiek: z największą pokorą i posłuszeństwem uczy się, łyka książkę za książką, pławi się w notatkach, ale rezultaty są coraz gorsze, i te masy drukowanego papieru walą się całym ciężarem na jego głowę. O tem, żeby go zmienić w wyglądzie, żeby uczynić go bardziej „*présentable*", także niema mowy, ale sama jego uległość, sama pokora, z jakąby chciał wszystko rzucić i zamknąć się w klasztorze, ta wreszcie dziecinna, surowa i naiwna pobożność, ta straszna włosiennica, którą proboszcz odkrył w chwili jego zemdlenia w wikarówce, ta okrutna, nie z tych czasów dyscyplina...

Toż to właśnie to napawa starego proboszcza największym niepokojem: nie takich synów dziś Kościołowi potrzeba! Nie wolno wracać do średniowiecza! Ksiądz Douissan wszystkiego wysłuchał, głowę trzyma kornie schyloną, ale najwidoczniej rozgrywa się w nim jakiś dramat, jakaś walka, której on sam jest areną i ofiarą. Z największym wstydem, przed przełożonym i sobą samym się kryjąc, ów nędzny prostak, biedaczyna, *poverello* duchem, marzy o bohaterstwie, o świętości...

Ksiądz Menon-Segrais będzie dla niego szorstki i surowy, ale go nie puści z pod swej opieki. Czemu? bo ma to przekonanie, że się sam wielu, wielu rzeczy od niego jeszcze na starość nauczy. Jest to ciężka dla starca odpowiedzialność, ale ostatecznie otwiera na oścież przed swym wikarym swobodę pracy duszpasterskiej.

Rezultaty są zadziwiające. Ten nieokrzesany prostak, sam nieraz słaniający się na nogach, blady i zmęczony, idzie przebojem do dusz ludzkich. Ludzie na wsi podśmiewają się z niego, ale wstają na jego widok, lękają się go i czują jego wpływ. Trudności wszystkie wziął teraz na siebie, nic z nich nazewnątrz nie przejawiając. „Zawsze ten sam kapłan nieśmiały, którego śmiech ludzki wytrąca z równowagi i który ciężko z własnej krtani słowo wydobywa, ale twarz jest teraz nieruchoma, ręce ledwo drżenie jakie czasem wykażą". Zaś słowo każde im cięższej wypracowane, tem żywiej działa. Jeden z jego parafjan zeznaje, że gdy wikary wymawiał słowo Bóg cichym głosem, słuchaczom aż dech zapierało...

Prawdziwy dramat odgrywał się w celi, nocną porą. Ksiądz Douissan miał niewyznane ambicje świętości, ale czuł, że w nich czai się może pokusa. Do świętości widział tylko jedną drogę, cierpienie. Wszystko inne było podejrzane. Nieszczęsny! bał się każdej chwili radosnego spokoju, samą ciszę wewnętrzną mącił, i nie widział, że w tem niszczeniu wewnętrznej radości i ciszy czaiła się podmowa złego ducha, której w nich nie było...

Myśl o wyjątkowych celach, do jakich go Pan może prowadzi, przerażała go, choć naiwnie i bohatersko się jej poddawał. „Przekroczenie niemożności sprostania takiemu przeznaczeniu zabijało mu nawet modlitwę na wargach. Ta wola Boża nad jego biedną duszą przygniatała go nieludzko. Coś bardziej wnętrznego niż samo życie wisiało w nim".

I wtedy, w chwili rozpaczy, nagle zjawiała się cisza, błoga, spokojna, cisza pełna czyjejś obecności. Zamierało w nim wszystko prócz oczekiwania. Wrażenie wyciągniętej ku niemu ręki pomocnej tak silne, tak przemożne, że odwracał głowę, by zobaczyć czy kogoś niema. Ale wtedy, jakby za karę za te poszukiwania namacalnego znaku, zjawiało się wątpienie, drobne, nikłe, rosnące, wielmożne. Za niem myśl o pokusie, o dumie, wreszcie o biczowaniu, by zło wykorzenić z siebie. I wtedy, długie godziny nocne ten kapłan XX-go wieku spędzał na średniowiecznem, zaciętem biczowaniu schorowanego ciała.

Któregoś wieczoru ksiądz Douissan wybrał się w parukilometrową drogę, ku pobliskiej parafji, gdzie miał pomóc proboszczowi w wyspowiadaniu wiernych. Zmierzch zapadał, ale wędrowiec znał dobrze drogę. U rozstaja, w polu, usiadł na chwilę, bo mu sił zabrakło. W myśli przechodzi wiele swych wewnętrznych doświadczeń. Także i tę chwilę, w której, w rozmowie z Krzyżem, wyrzekł się kiedyś w dobrowolnej ofierze, dla dobra swych parafjan, wszystkich własnych radości, nawet nadziei. Gdyby mógł, dla tych umiłowanych bliźnich wyrzekłby się nawet własnego zbawienia. Ale tego nie wolno...

Siedząc w polu, pogrążony w własnem wnętrzu, ksiądz Douissan stanął na rubieży zatracenia... wstał i szedł dalej, z jakimś wewętrznym niepokojem. Szedł długo, dziwnie długo, i po chwili spostrzegł, że zbłądził w tej znanej sobie okolicy, a jeszcze po chwili, że zaszedł na miejsce, skąd był wyszedł. Ruszył w nową drogę, i znów spostrzegł, że idzie po omacku coraz gorszą drogą, śliską, błotnistą. Błądził długo, godzina minęła, w której miał zacząć nocną służbę w konfesjonale. Szedł dalej, zadyszany, bezradny, wciąż widząc na nowo, że zbłądził i kręci się w kółko. Już go nogi nie niosły. Usiadł.

Wstał znowu i po chwili znalazł się na ubitej drodze. Ale tym razem w czyjemś towarzystwie: ktoś drepce przy nim. Ktoś bardzo żywy, zgrabny, zygzakiem przechodzący z prawej na lewą jego stronę, i z lewej na prawą. Ktoś zresztą dobroduszny, rozmowny i wesoły.

Rozmowa się zaczyna o rzeczach błahych. Ksiądz jest pełen wdzięczności, bo tamten najwidoczniej zna dobrze drogę. Zajmuje się handlem koni na cudzy rachunek. Zmusza to go do ciągłych wędrówek. Otarł się o ludzi, dlatego taki uprzejmy.

Ksiądz ma oczy pełne łez, i serce aż wezbrane potrzebą rozmowy. Tamten rozkłada swój płaszcz na zimnej ziemi i sadza go gwałtem na nim. Niech odpocznie po trudach. Ksiądz Douissan' czuje że mdleje, oparłszy się o to przyjazne ramię. Resztką sił cuci się, a tamten go pociesza: „Zdawna szedłem za wami, z daleka idziecie, byłem na drodze, gdyście się błąkali...".

Ale przecie ksiądz był wtedy sam.

Teraz znajduje się w stanie pół-omdlenia. A tamten coraz śmielszy, nazywa go już swym przyjacielem i kolegą. Ksiądz pojmuje, że spotkał to, przed czem uciekał, i że przyszła chwila, która przyjść musiała. Tamten objął go miłośnie ramieniem i mówił:

„Śpij, dziecię serca mojego. Trzymaj się mnie ostro, głupcze, księżulku, koleżko. Odpocznij. Długom cię szukał, długom trapił. Otoś jest! Jakże Cię kocham! Na długo, na zawsze!".

Ksiądz Douissan poznał go odrazu: był to wstrętny towarzysz jego całego życia, ale w i d z i a ł go po raz pierwszy.

Życie uciekało z niego powoli, a świętokradczy pocałunek, którym mu tamten usta przydusił, omal go nie dobił. Ale toby było zawcześnie. Więc się czarny człowieczek przeraził, i począł go cucić z humorem znów i dobrodusznością.

Jednakowoż ksiądz ocucony wrócił też i do s w e g o spojrzenia. I teraz się role odwróciły. Tamten krążył

niespokojnie gnany spojrzeniem księdza. Wreszcie przystanął i rzekł prosto:

„— Zostaw mnie. Twoja próba skończona. Nie wiedziałem żeś taki mocny. Zobaczymy się jeszcze. Albo jeżeli wolisz, nie zobaczymy sie nigdy. Od minuty, nie mam już żadnej władzy nad tobą".

Ksiądz Douissan szeptał pacierze.

Oczy ich się spotkały. Kapłan zatrząsł się aż do wnętrza swego wnętrza. Spojrzał w bezdenną otchłań zła. Ale wytrzymał i dojrzał jeszcze coś więcej:

„Danem mi jest, że cię mogę przejrzeć. Widzę żeś przygnieciony własną boleścią. Jesteś na granicy unicestwienia, ale nie dojdziesz doń długo...".

Na to słowo ostatnie, tamten runął w błoto i gryzł ziemię w bezmocnej wściekłości. „Kto ci powiedział, psie uświęcony, że niczego się tak nie boimy, jak litości".

„Czegoś chciał odemnie, dzisiejszej nocy"?

„Słuchałem, wiesz przecie, kogoś silniejszego".

„Czy dana Ci jest dusza moja"?

„Nie, ale Cię kusić mogę od dziś do śmierci".

I tu rozwiała się postać koniokrada, by zamienić się w inną, która stanęła oko w oko z księdzem. Był to on sam. Przerażający sobowtór sutanny, grubych butów, zwłaszcza oblicza, gdzie, jak nigdy przedtem, nieszczęsny kapłan zobaczył całe swoje wnętrze. Rozwiało się i to na zaklęcie.

Ksiądz był coraz silniejszy. Stracił moc dopiero, gdy zażądał od Tamtego, by przestał kusić dusze tych, których on, ksiadz Douissan, prowadzi.

I tu pokusa zwyciężyła. Szatan uwolniony syknął śmiechem i zniknął obiecując powrót, powrót straszliwy.

„Trzymałem Cię na piersi, kołysałem cię w ramionach. Ileż razy zdarzy się to jeszcze, ileż razy będziesz mnie trzymał, myśląc że chwytasz T a m t e g o! Bo taką jest moja władza nad tobą, i taki twój znak, piętno twego przeznaczenia".

Świtało, ksiądz został sam, i skierował się ku domowi. Myśl świadoma wracała do niego, rozpaczliwie bolesna. Co to było? prawda czy s z a l e ń s t w o?

Gdzieś znów w polu, z rozmokłej ziemi wyrosła postać niewiasty. „Wróciłeś nareszcie" „Ktożeś jest, ty sama?"

Mouchette poznała pomyłkę. Nie bez wstrętu przywitała księdza.

Ale ten czuł w sobie moc. Przejrzał tę kobietę odrazu: jej nędzne, biedne, rozpaczliwe życie tarzające się w brudzie i grzechu, jej duszę zranioną ostrzem dawnej zbrodni, którą wlokła za sobą, nosząc jej obraz w oszalałym wzroku. Nie pomagały coraz nowe miłostki. Nie pomogła spowiedź rozpaczna napotkanym w powrotnej drodze krzewom i odartym z liści drzewom.

Mouchette nie wie, jak bezbronna, do samego wnętrza serca przejrzana, stoi teraz, u świtu, w polu, przed tym dziwacznym księdzem.

Ale pomału zdaje sobie z tego sprawę. Zdaje jej się też, że wyciągnął z niej wszystko, że to ona mu wszystko powiedziała. A zaczęło się przecież tak, że to on jej powiezial te dziwne, straszne słowa: „Odejdź stąd, boć przecie wiesz dobrze, ż e u m a r ł y k t ó r e g o c z e k a s z, j u ż s i ę t u n i e z n a j d u j e".

— Jaki umarły?! Skąd ten klecha wie, że Mouchette co rano przychodzi tu na tę drogę, krórą szła po spełnieniu zbrodni?

Mouchette nienawidzi tego księdza, walczy z nim, ucieka od niego, ucieka się w myśli do wezwania Jego, Sprzymierzeńca, Szatana.

Mouchette umrze podrzynając sobie gardło brzytwą. Ale konając zażądała zaniesienia do pobliskiego kościoła; wbrew woli rodziców uskuteczni to ksiądz Douissan.

Za ten skandal w parafji zostanie nieledwo zasuspendowany, zamknięty w dalekiej Trappe de Tortefontaine. Cóż za szkoda z tej całej historji dla Kościoła w tym antyklerykalnym departamencie! Wikary jest na ustach wszystkich złośliwości. Skąd jego znajomość z tą ladacznicą? I to w dodatku właśnie córka Malorthy'ego!

Biedna Mouchette! Było w niej serce z ognia i dusza z kryształu. Życie ją zwarzyło. Cierpienie ją doprowadziło na miejsce spotkania z tym ukrzyżowanym księdzem. Ale teraz znajduje się na skłonie Góry Czyśćcowej.

Jest wreszcie i *Paradiso*, *„Le Saint de Lumbres"*, ale tego tu dziś nie chcę tknąć.

Po przebyciu pokuty, ksiądz Douissan rozbroił swoje władze duchowne i otrzymał zapadłe probostwo w Lumbres. Tu praca jego jest triumfalna, ma opinję świętego. Co ważniejsze, jest umiłowany przez parafjan.

Ale on w sobie walczy wciąż, do ostatniego tchu. Tamten go nie puszcza z pod bicza. Jaką drogą zajść drogę temu świętemu? Drogą rozpaczy, zwątpienia, wreszcie napół—świętokradczego domagania się cudu od Boga, jako znaku...

Ale to wszystko w cieniu cierpienia, pokory, modlitwy. Czasem jednak i ta zamiera na ustach.

Ksiądz Douissan jest wcieleniem walki do ostatniego tchu. Niema spokoju dla niego, ni ciszy, ni portu. Umiera nagle, w konfesjonale, na posterunku. Jedyne bodaj miejsce, gdzie służąc innym, o sobie zapomniał, więc i o swojem męczeństwie.

Co powiedzieć o takiej książce?

„Nouvelles Litteraires" pasowały ją na „powrót szatana". Ale Georges Bernanos zdaje się nam mówić tak:

„Czyż on kiedykolwiek odszedł, że miał wrócić? Czytelniku, wróć się do lat młodych, i poszukaj u prawego boku swego opiekuna. Ale obróć także głowę na lewo. Czy aby tam nie czai się zło wcielone, czyhające na twoją słabość? I czy nie masz wiele do zyskania, zło z siebie wyrzucając, a zostawiając sobie jeno słabość? Spójrz się dobrze, głęboko, wnikliwie w pustą przestrzeń po twej lewej stronie. Może ona nie taka pusta, jak się zdaje".

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

AKROPOLIS

(DRAMAT ST. WYSPIAŃSKIEGO GRANY W TEATRZE KRAKOWSKIM W LISTOPADZIE I GRUDNIU 1926 R.)

Tutaj wam pokazano (jak w zwierciadle dla duszy,
Ale w sercu to rośnie i przerasta wzruszenie,
A co słyszą li uszy, to się zetrze, rozkruszy,
Tu zaś włada wszechwładnie jedno tylko marzenie):

Wawel żywy na zawsze, od prawieka po wieki,
Od praw życia, tworzących się w Jakóba rozprawie,
Korzeniami w ludzkości gdzieś zaryty dalekiej
I w Hektora ojczyźnie rozmiłowan i w sławie.

I nietylko dlatego, że gobelin tam taki,
Owe dzieją się sprawy, te ponocne majaki.
To w podziemiach Wawelu żywe Biblja i Troja,
To zaś lutnia podźwięka, to pobrzęka znów zbroja.

A te wrota Katedry ciężkie, czarne nad wschodem,
Gdy otworzą się, równo, śmierć czy Hymen wywiodą.
Poza niemi wieczystych śpiew narodu trwa chórów.
Miłość, miłość zwycięska jest chorągwią tych murów.

TADEUSZ SZANTROCH

LIBERUM VETO

Odszukiwanie programu. — Niespodziewane rozwiązanie zagadki. — Niema i nie będzie programu. — Nałogowanie się myśli.— W społeczeństwie astronomów.—Piłsudski o sobie.—Najważniejsze pytanie i przepowiednia. — Potrzeba nowego hymnu narodowego. — Cześć staremu.

Zarówno dla dobrowolnych i najętych bałwochwalców p. Piłsudskiego, jak dla nieprzejednanych i nieustraszonych jego wrogów było dotychczas nierozwiązalną i kłopotliwą zagadką, co „twórca Polski“, „największy wódz“, „mąż opatrznościowy“ zamierza dalej czynić po przetasowaniu wszystkich talij urzędniczych, wyrzuceniu z nich wszystkich kart doświadczalnie lub zabobonnie w grze nieszczęśliwych. Bezkrytyczni czciciele, jak wogóle wszyscy czciciele, niedopuszczający najmniejszej niewiary co do mądrości swego bóstwa, uspakajali siebie i innych zapewnieniem: „On wie, co robi, On ma głęboko ukryty plan, który odsłoni wtedy, kiedy uzna za stosowne“. Ta wiara udzieliła się wreszcie przeciwnikom. Ci przekonani, że sprawca gwałtownego przewrotu i wszechwładny naczelnik rządu musi mieć jakiś program, starali się go odgadnąć z oznak zewnętrznych, z czynów i słów oderwanych, ale ich domyślność błąkała się bez wyjścia w coraz nowych i coraz dziwniejszych niespodziankach. Następowały szybko po sobie rozporządzenia, nominacje, dymisje, nakazy, zakazy, niewytłumaczone, nieoczekiwane, rozbieżne lub sprzeczne tak dalece, że niepodobna ich było związać jakąkolwiek łącznością, doprowadzić do jakiegoś wspólnego mianownika. Daremnie „hurra wielbiciele“ — jak ten rodzaj nazywaja Niemcy — usiłowali zawrzeszczyć i ogłupić zdumionych; daremnie fałszerze logiki próbowali wynaleźć zgodność między niezgodnościami i wreszcie dowieść, że niekonsekwencja jest zasadn czym warunkiem konsekwencji, ogół nie przestawał twierdzić, że w tym galimatjasie musi być jakiś program. Nareszcie zagadka została rozwiązana największą chyba niespodzianką, jaka kiedykolwiek spotkała gdziekolwiek opinję publiczną i jaka spotkać mogła naszą. Korespondent francuskiej gazety *Temps* uzyskał wywiad u p. Piłsudskiego, który na pytanie o dalszy program odpowiedział: „Ja żadnego programu nie mam i mieć nie mogę. — Czekają mnie na prawicy — pochylam się na lewicę. Czekają mnie na lewicy, żywo przechodzę na prawicę i wpadam na zdziwionego przeciwnika“. Objaśnienie bardzo proste i rzeczywiście nie wymagające żadnego programu. Chodzi bowiem tylko o to, ażeby kolejno przeskakiwać z lewej strony na prawą i odwrotnie.

Dotychczas komentatorowie działalności pana Piłsudskiego przedstawiali ją fałszywie jako fantastyczną kombinację samych znaków zapytania dlatego, że nie uwzględniali ani jego przeszłości, ani jego własnych samookreśleń. Spróbuj czytelniku przez tydzień przy piciu herbaty podnosić filiżankę ręką lewą; zobaczysz, że następnego tygodnia zmieni się ten zwyczaj w ruch, mechaniczny, którz powtarzany dłużej stałby się częściowem mańkuctwem. A Comte powiedział, że wszyscy przeżywamy życie umarłych. Nie tylko umarłych, ale swoje własne minione. Przysłowie o skorupie nasiąkłej za młodu jest niewzruszalna prawdą. Pierwsze powiązania naszych myśli i uczuć, umocnione dłuższem trwaniem, chociaż potem nieraz rozluźniają się i zwierają, pozostają zasadniczą kanwą wszystkich późniejszych skojarzeń duchowych. Dusza ludzka posiada daleko więcej nałogów, niż ciało. Jest tu także mechanizm, nadzwyczajnie oporny wszelkim zmianom i przeróbkom. Setki lat upłynęły od naukowego odkrycia Kopernika, a chociaż cały świat w nie uwierzył, nie zmienił swego dawnego postępowania w praktyce. Gdybyśmy utworzyli społeczeństwo z samych astronomów, wydawaliby oni niezawodnie swoje kalendarze z oznaczeniem wschodu i zachodu słońca, pomimo że ich dzieci dziwiłyby się konserwatyzmowi swych ojców.

Wobec tego pedagogowie w ogromnej większości nie zdają sobie sprawy, jak potężny wpływ mogą wywierać na kształtowanie się umysłów w narodzie, jak znowu wszyscy poprawiacze i przerabiacze tych umysłów nie domyślają się nawet bezskuteczności swych usiłowań.

P. Piłsudski podlega ciągle tej daremnej operacji. Tysiące głosów krytykują go, pouczają, ostrzegają, naprowadzają na właściwą drogę, a on tymczasem nie zbaczajac ani na chwilę idzie swoją własną, głuchy na wszelkie uboczne rady i ślepy na wszystkie uboczne światła. Bo jak parowóz pozostał parowozem pomimo wynalezienia aeroplanu, tak Piłsudski pozostanie Piłsudskim pomimo wynalezienia Mussoliniego. Chcąc go zrozumieć, a zwłaszcza przewidzieć, trwałość jego przedsięwzięć trzeba pamiętać, co sam rzekł zupełnie szczerze: „wściekły ryzykant“, lubujący się w nagłych rzutach, improwizator i gracz polityczny, przeciwnik długich rozważań i przygotowań, działacz z umysłem znałogowanym w tym kierunku. W jednem ze swoich pism opowiada, że gdy podczas najazdu bolszewików oficerowie sztabu naradzali się w ministerjum wojny nad jakimś planem, on, wódz naczelny, spacerując w sąsiednim pokoju, zaśmiewał się nad nimi. Więc nie szukajcie w jego myślach i czynach głęboko ukrytego programu, bo trzeba wierzyć jego szczeremu wyznaniu, że on żadnego nie ma i mieć nie może. Tu powstaje najważniejsze pytanie: skoro Polska jest obecnie królestwem nieukoronowanego monarchy z takim charakterem, co ją czeka w najbliższej przyszłości? Zdaje się, że proroków możnaby naliczyć jeszcze więcej, niż sławnych lekarzów, ale szczęśliwych daleko mniej — jeśli wogóle tacy istnieją — ja przynajmniej nie spotkałem ani jednego, chociaż Wernyhorów znałem bez liku. Ponieważ jednak żaden człowiek nie obejdzie się bez wróżby, zwłaszcza przy opłatkowych i noworocznych życzeniach, przeto ofiaruję czytelnikom na ten użytek moją przepowiednię: z obecnego stanu wyprowadzi nas coś, czego jasno nie widzimy, a nawet może nie przeczuwamy. Kto się roześmieje z tej nieuchwytnej i nieokreślonej wróżby, niech zauważy, że ona nie jest pozbawiona treści i zawiera wyraźną wskazówkę: ową zbawczą niewiadomą siłą nie będzie żadna z dotychczas przyciągających nasze nadzieje.

Jak gdyby dla powitania nowej epoki naszego życia podniesiono w prasie myśl zmiany naszego hymnu narodowego. Rzeczywiście mazurek Dąbrowskiego nie odpowiada już dziś potrzebie ani treścią, ani formą. Nadewszystko zaś formą, która w hymnach narodowych stanowi rzecz główną. Połowa Francuzów nie zna dokładnie tekstu Marsyljanki, ale wszyscy znają jej melodję porywującą. Pod tę cudowną muzykę można podłożyć cedułę giełdową i ona nic nie straci ze swej piękności. Nasza „Jeszcze Polska nie zginęła“ uległa kilku przeróbkom w słowach, ale pozostała niezmieniona w melodji. Otóż ta melodja skoczna w swoim zasadniczym rytmie, zwalnianym i rozciąganym sztucznie dla uczczenia chwil uroczystych, nie zadawala naszych obecnych wymagań. Pomimo wszystkich zwolnień i przewlekań pozostaje ciągle mazurkiem i to ubogim. Ale uznając potrzebę zastąpienia tego hymnu narodowego nowym, można wątpić, czy on dałby się łatwo wyprowadzić drogą konkursu. Niezawodnie otrzymalibyśmy ogromną wiązkę pieśni bardzo mądrych, kunsztownie sharmonizowanych,

które posiadałyby wszystkie zalety utworów artystycznych, a tylko jedną wadę — że nikt nie chciałby lub nie umiał ich śpiewać. Zanim urodzi się z genjalnego natchnienia ów upragniony hymn wskrzeszonej Polski, powszechnie przyjęty i umiłowany, nie należy tak poniewierać czcigodnym staruszkiem, który w tylu wypadkach smutnych i radosnych, w tylu nieszczęściach i triumfach narodu pokrzepiał nadzieją lub porywał jego serca. Piękną obroną od lekceważenia otoczył go prof. I. Chrzanowski w serdecznej książeczce p. t. „Nasz hymn narodowy". Anglicy szanują dotąd tradycyjny worek wełny, leżący w parlamencie i nie mają odwagi zdjąć peruki z głowy marszałka parlamentu. Nasza pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła" więcej zasługuje na cześć, niż ów worek i peruka.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

PRACA NIE ZAJĄC

NIE grzeszą Polacy zbytnią ścisłością myślenia, a jednak może nikt nie pojmuje tak ściśle, jak my, biblijnego przekleństwa: „W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba". Polacy czują się bardziej, niż narody zachodnie, „wygnańcami z raju rozkoszy", w którym nie było ciężkiej pracy na chleb codzienny. Od błogiego stanu szczęśliwości i lenistwa dzieli nas mniejszy, niż innych, obszar kultury, to też trudniej nam zapomnieć o pierwotnej bezczynności. Praca ciągła i nieustępliwa, nie przerywana kaprysami humoru, nie wsiąkła w krew naszą tak głęboko, jak u narodów o starszej kulturze. Dla nich wysiłek duchowy, intelektualny, i działanie praktyczne są tak samo warunkiem życia, jak oddech i pokarm. Długie wieki narzuciły im pracę, nauczyły jej, przyzwyczaiły do niej i pogodziły z nią tak, że stała się najbliższą towarzyszką i miłą, niezawodną przyjaciółką człowieka cywilizowanego. Widok np. Francuza pracującego i próżnującego musi nasunąć myśl, że praca i spoczynek mają dlań ten sam urok, że oddaje się im z równą chęcią i zadowoleniem.

W Polsce panuje popularny, niemoralny stosunek do pracy. Wyraziło się to nawet w języku i przysłowiu; przecież obowiązki nasze „spychamy", robimy niedbale „aby zbyć" i powoli, bo „praca nie zając, nie ucieknie". Mało kto stara stara się pracować jak najlepiej umie; mówimy chętnie: „mógłbym, ale mi się nie chce".

Pracuje się u nas przeważnie tylko tyle, ile się musi, żeby nie dostać „dymy" z zajmowanej posady. Jest to stara tradycja rolnicza nieoświeconego chłopa, który uprawia i sieje tylko tyle, żeby miał co zjeść. Na całej przestrzeni życia polskiego grasuje bezkarnie lekkomyślna niesumienność w wypełnianiu wziętych na się zadań. Pracujemy często niesolidnie, nie lubimy też oceniać sprawiedliwie wartości działania innych. Iluż ludzi piastuje u nas wysokie, odpowiedzialne dostojeństwa jedynie dlatego, że im nie brak wdzięku osobistego albo jakiejś podobnie rzetelnej kwalifikacji zawodowej: to zniechęca oczywiście uczciwych fachowców, wdrażając im przedświadomie, iż etyka pracy jest przesądem.

Ambicja, ten ważny bodziec wysiłków, jest u nas fałszywa; goni za doraźną nagrodą, za chwilowym efektem, za orderem lub awansem, a brak nam naogół dumnych aspiracyj, żeby sobie wystawić pomnik pożyteczną, niezmordowaną pracą, z której korzystając, przyszłe pokolenia musiałyby i o nas wiecznie pamiętać. Ta ziemska forma nieśmiertelności, to „*non omnis moriar*", nie ma dla nas wielkiego, pociągającego uroku.

Rzecz bardzo znamienna i powszechna, iż obejmując jakieś stanowisko w urzędzie czy w wojsku, w szkolnictwie czy w administracji, jesteśmy najczęściej przygotowani na to, że trzeba będzie niemal wszystko urządzać na nowo, gdyż poprzednik prowadził robotę źle i nie zostawił nic godnego utrzymania. Fundamentem szybkiego rozwoju cywilizacji narodowej jest dziedziczenie wartości, których dorobili się antenaci. Otóż my mało dziedziczymy i mało zostawiamy w spadku, za to dużo trwonimy w każdem pokoleniu z osobna.

Swego czasu W. Feldman we „Współczesnej Literaturze Polskiej" zaatakował Sienkiewicza za „frazes o *l'improductivité slave*", twierdząc, iż właśnie Słowianie odznaczają się „...świeżymi, bujnymi instynktami, zdolnością do ruchów żywiołowych a długotrwałych i celowych. Specjalnie zaś Polacy, dzięki młodości swej cywilizacyjnej mają chyba większy zapas pierwotnej energji, niż ludy przeżyte..." Feldman, ze zwykłą sobie nieścisłością, pomieszał dwie różne rzeczy. Prawda, że Słowianie mają ogromną żywotność; tego im ani Sienkiewicz ani nikt wogóle nie zaprzecza, ale słuszność ma autor „Bez dogmatu", iż wobec narodów zachodnich, Słowianie, a wród nich i Polacy, byli i są dotychczas mało produktywni. W każdym razie produktywność nie pozostaje u nich w logicznym stosunku do posiadanych talentów i energji fizycznej. Zasoby cywilizacyjne świata słowiańskiego kryją się przeważnie *in potentia* a w formie kinetycznej dopiero powoli zaczynają występować.

Polska ma z czego rozrastać się duchowo i materjalnie, byle tylko Polacy rozmiłowali się w dokonywaniu szczerze i ciągle twórczego wysiłku we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego.

P.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

SPRAWY WEWNĘTRZNE

SPOŁECZEŃSTWO wciąż czeka na ujawnienie się programu rządu. Może się tylko domyślać, jakie są powody trwania dotychczasowej zagadki. Programu nie było widocznie w czasie przewrotu majowego, albo też wydawało się, że wystarczą ogólnikowe hasła czy magiczne zaklęcia, dopiero zetknięcie się z rzeczywistością odsłoniło trudności rządzenia, których dostatecznie sobie nie uświadamiano. Ponadto w łonie rządu, jak w dawniejszych, pod naciskiem okoliczności kleconych gabinetach, brak jednolitości poglądów na kierunek i metody polityczne.

Przez pewien okres czasu taka postawa zagadkowa jest w naszych warunkach dogodna dla rządu, któremu nie można odmówić taktycznej zręczności. Wzorem mogłoby tutaj służyć doświadczenie austryjackie. Ponieważ rząd obecny chce zredukować wpływ Sejmu do minimum, do tych czynności, które są konieczne dla funkcjonowania aparatu administracyjnego (jak uchwalenie budżetu), ogląda się przeto za pozyskaniem sił społecznych. Taktykę rządu autorytatywnie określono jako wahadłową: od prawicy do lewicy i z powrotem. Te wahnięcia zapewniają niestałą równowagę. Pozwalają zainteresowanym żywić nadzieję, że na ich stronę w przyszłości przechyli się kierunek

polityczny, albo też napawają je obawą, że istotna opozycja pchnie czynniki rządzące w stronę przeciwną.

Powyższy układ stosunków tłomaczy szereg faktów ostatniej doby. Gdy z jednej strony występuje chęć pozyskania hierarchji kościelnej z uwagi na sfery zachowawcze, jednocześnie traktuje się życzliwie sekty, zwalczające kościół katolicki, i zyskuje się ich uznanie. Wyłania się sprzeczność między dążeniem do uwzględnienia postulatów politycznych i społecznych mniejszości w województwach wschodnich, a stanowiskiem tamtejszych sfer ziemiańskich, które popierają rząd marszałka Piłsudskiego. Tendencje do porozumienia z Niemcami w polityce zagranicznej krzyżują się z zamiarami znalezienia oparcia w dzielnicach zachodnich, gdzie czynnikiem rządowym mają być bądź powstańcy górnośląscy, bądź kierownicy Związku Obrony Kresów Zachodnich, a więc żywioły, których racją istnienia jest polityka antyniemiecka.

Takiż taniec wśród mieczów przedstawia polityka społeczna. Poszczególne grupy gospodarcze wzywane są na narady, z których wynika, że rząd gotów jest jaknajżyczliwiej potraktować ich postulaty. Ale trudność zjawia się wówczas, gdy interesy tych grup są sprzeczne. Wówczas określona linja postępowania jest niemożliwa, pozostaje bierność lub taktyka zygzaków. Stąd np. nie została rozwiązana sprawa zwalczania drożyzny, bo przecież groźne zapowiedzi represyj administracyjnych są tylko gestem dla zadowolenia bezmyślnej ulicy, bez dalszych konsekwencyj. Dlatego wałkuje się bez decyzji kwestję zakazu wywozu zboża zagranicę, dlatego nie widać, jaki jest stosunek rządu do żądania podwyższenia płac robotniczych, co przecież ma bezpośredni wpływ podwójny na ceny, wskutek wzrostu kosztów produkcji i wzrostu siły nabywczej mas pracujących, jako spożywców.

Brak wyraźnej myśli przewodniej uwidocznia się i w polityce finansowej. Doświadczenia ubiegłych lat ugruntowały pewne dogmaty skarbowe i dały obowiązujące wskazówki postępowania. Powszechnie przyjęto, że budżet musi być rzeczywiście zrównoważony, że bilans handlowy winien być czynny. Ale zasada bezwzględnej oszczędności, która doprowadziła w myśl polityki, przeprowadzonej przez ministra Zdziechowskiego, do pokrycia występującego na początku r.1926 groźnego deficytu budżetowego, nie spotyka się w rządzie z całkowitem uznaniem. Odstępstwa od tej zasady, występujące w przedłożeniu budżetowem, są objawem niepokojącym. Minister skarbu przeciwstawia krytycznej ocenie optymizm oparty na pomyślnych wynikach tegorocznych i na przewidywaniu wzrostu dochodów. Jednakże wzrastająca drożyzna nie usprawiedliwia optymizmu. Wzrost cen może uczynić preliminarz budżetowy nierealnym, zwiększając wydatki rzeczowe i zwłaszcza osobowe, bowiem podwyższanie uposażeń urzędniczych staje się koniecznością. Konjuktury wywozowe w roku 1927 nie będą równie pomyślne, jak w roku 1926, zważywszy względny nieurodzaj zbóż i zlikwidowanie strajku węglowego w Anglji, tak, że utrzymanie czynnego bilansu płatniczego, niezbędnego dla pokrycia zobowiązań i wypłat w walutach obcych, nie jest rzeczą pewną. Wzrost zaś cen w kraju utrudnia współzawodnictwo na rynkach zagranicznych i niema gwarancji, czy ożywienie w przemyśle, które nastąpiło w roku ubiegłym, będzie nadal trwało. A od tempa życia gospodarczego zależy wpływ przewidywanych dochodów skarbowych.

Sejm nie stawia polityce skarbowej rządu trudności, aczkolwiek ma duże wątpliwości co do jej słuszności. Skoro powstają między nim a rządem nieporozumienia, zjawia się z reguły pogłoska o zamierzonem rozwiązaniu Sejmu. Paraliżuje ona opozycyjne popędy większości posłów, którzy skłonni są do unikania starć.

Żyjemy przeto w okresie wyczekiwania, jak się ukształtują zamiary rządu. Na razie widoczne są manewry, przygotowania do przyszłej kampanji na terenie wewnętrznym. Nie prowadzą one do konsolidacji społeczeństwa, lecz do rozbijania od środka istniejących, zbyt licznych ugrupowań partyjnych. Tymczasem na terenie zagranicznym nie brak coraz groźniejszych ostrzeżeń, które właśnie powinny skłaniać do skupienia się całego patrjotycznego ogółu.

B. W.

SPRAWY ZAGRANICZNE

POWODZENIA genewskie dyplomacji niemieckiej przedewszystkiem zaś zniesienie istniejącej dotychczas kontroli państw zwycięskich nad zbrojeniami Niemiec, wywołały zrozumiałe zaniepokojenie opinji francuskiej (organ Milleranda „*Avenir*" nazywa ostatnie ustępstwa Francji „nowym Sedanem"), natomiast polityków niemieckich zachęciły do wysunięcia nowej serji żądań i postawienia ich w tonie ostrzejszym i bardziej kategorycznym, niż poprzednie. W mowie w Hamburgu dn. 20 z. m. minister Stresemann domagał sie już całkowitego zrównania Niemiec z państwami sprzymierzonemi w dziedzinie swobody zbrojeń, postulat raczej teoretyczny, ponieważ ustanowiona obecnie kontrola z ramienia Ligi Narodów nie może być uważana za jakiekolwiek poważniejsze utrudnienie przygotowań odwetowych. Przeciw komu zaś wymierzony ma być pierwszy cios odwetu niemieckiego, wskazuje wyraźnie choćby sprawa fortyfikacyj Królewca, dziś obficiej zaopatrzonego w armaty, niż w r. 1914, wskazują nowe wielkie manewry armji niemieckiej w Prusach Wschodnich i wykryta ostatnio akcja szpiegowska na Górnym Śląsku, na której czele stał przedstawiciel Niemiec w komisji mieszanej polsko-niemieckiej, dr. Lukaschek. A rząd polski wywdzięczając się za „pokojową" politykę dr. Stresemanna, zarządza... powstrzymanie likwidacji mienia optantów niemieckich w Wielkopolsce i na Pomorzu!

Na Litwie wojskowy zamach stanu obalił rząd, zmusił do dymisji dotychczasowego prezydenta Griniusa, poczem w zdekompletowanym Sejmie (na 85 posłów tylko 41 wzięło udział w posiedzeniu) przeprowadzono wybór nowego prezydenta, którym został blisko niegdyś współdziałający z niemieckiemi władzami okupacyjnemi p. Antoni Smetona. Z kół, które doszły do władzy, zapewniają, iż zamach był reakcją zdrowego instynktu narodowego przeciwko rządom lewicowym i wywołanemu ich polityką niebezpieczeństwu dojścia do władzy żywiołów zdecydowanie komunistycznych. Niewątpliwie, po ostatnim traktacie litewsko-sowieckim, niebezpieczeństwo to było bardziej, niż kiedykolwiek widoczne. Ale nacjonalizm litewski, jeśli nie jest poprostu dogodnym szyldem, fałszywą firmą, pod którą załatwiane są inne, zgoła nie narodowe litewskie interesy, zawiera w swojem założeniu sprzeczność wewnętrzną, która na dłuższą metę pęta go i decydować musi o jego bezwładzie. Tą sprzecznością jest chęć unieważnienia własnej przeszłości, usunięcia z dziejów litewskich pół tysiąclecia, od Krewa i Horodła aż po lata bezpośrednio poprzedzające wybuch wojny światowej. Tymczasem nacjonalizm, i to właśnie jest jednem z jego założeń najistotniejszych, jest poczuciem łączności duchowej z narodem na całej przestrzeni jego dziejów, uważaniem narodu za twór konkretny, rezultat konkretnej historji, nie

improwizowaniem go według tych czy innych wzorów lub obcych wskazań. Dopóki tej prawdy nacjonalizm litewski sobie nie przyswoi, będzie na własnym gruncie doktryną obcą, sztuczną, przeciwko której buntować się będzie pięćsetletnia przeszłość jego ziemi, niezatartemi śladami wyryta i na niej samej i w duszy jej ludu.

Polska wobec wydarzeń na Litwie przyjęła, i słusznie, postawę spokojnej obserwacji. Polityka awantur tak dalece sprzeczna jest z powszechną wolą społeczeństwa, że nikt, na szczęście, nie ma odwagi jawnie polityki takiej propagować. W każdym razie jednak, większe niż dotąd, zainteresowanie opinji zagadnieniami polityki zagranicznej jest jaknajbardziej wskazane. Tymwięcej, że wartoby wogóle przeprowadzić bilans polityki zagranicznej rządów „pomajowych“, zwłaszcza w świetle wyników ostatniego posiedzenia Rady Ligi Narodów.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

JUBILEUSZ WILHELMA BRUCHNALSKIEGO

WE LWOWIE obchodzono w dniach 11 i 12 grudnia b. r. 40 lecie pracy pisarskiej i 25 lecie działalności nauczycielskiej na katedrze Uniwersytetu Jana Kazimierza seniora polonistów, Wilhelma Bruchnalskiego.

W dorobku kulturalnym kilku ostatnich pokoleń pisma jubilata zajmują stanowisko pierwszorzędne. Szerokim kołom inteligencji polskiej nazwisko prof. Bruchnalskiego nie jest wprawdzie obce, ale też — poza Lwowem, z którym życie i praca jego są ściśle złączone — nie jest ogólnie znane. Bruchnalski napisał szereg znakomitych studjów, podstawowych dla rozwoju nauki o literaturze polskiej, ale studjów bardzo specjalnych, przeznaczonych głównie dla fachowców. W tych też kołach zdobył sobie najżywsze uznanie dzięki swej głębokiej i wszechstronnej wiedzy, surowej i ścisłej metodzie krytycznej, bystrej i dokładnej analizie historyczno-literackiej oraz ogromnej rzetelności pracy naukowej. Stosunek badacza wobec przedmiotu poznania jest nawskroś moralny, to też każdy rezultat w rozprawach i książkach Bruchnalskiego jest „murowany“, bo oparty na uczciwej, skrupulatnej i mądrej pracy umysłowej. Materjał zebrany zawsze jaknajsumienniej, z niezwykłym nakładem trudu w dążeniu do wyczerpania, rozpatrzony i rozklasyfikowany jaknajrozważniej, pozwala badaczowi na wyprowadzanie wniosków jedynie trafnych i niezawodnych.

Prof. Bruchnalski jest jedynym z tych, dziś już nielicznych, którzy, jak Wł. Nehring, A. Małecki, Roman Pilat, Al. Brückner, położyli fundamenty pod wiedzę o literaturze polskiej. Stąd jego wielkie zasługi jako jednego z „założycieli“ gmachu umiejętności literackiej i stąd również mała stosunkowo popularność: szerokie sfery amatorów interesują się często gzymsami albo supraportami, ale rzadko myślą o fundamentach budowli. Zacząwszy publikować swoje pisma od r. 1884, Bruchnalski rzuca mocne, szerokie podwaliny naukowe naszej znajomości średniowiecza i renesansu polskiego, epistolografji, panegiryku i wymowy w Polsce oraz czasopiśmiennictwa byłej Galicji („Stulecie Gazety Lwowskiej“ i „Historja Rozmaitości“). Z postaci twórczych wybrał dwie, którym najwięcej pracy poświęcił, a głęboko poznawszy przybliżył czytelnikom: Reja i Mickiewicza. Nic dziwnego, iż Bruchnalski, sam kładąc podstawy polonistyki, upodobał właśnie „ojca piśmiennictwa polskiego“ i ojca polskiego romantyzmu.

Początki działalności naukowej jubilata przypadły na okres, w którym najpilniejszem zadaniem było przedewszystkiem umiejętne przygotowanie tekstów artystycznych do badań ścisłych, a następnie analizowanie zawartości tych tekstów z punktu widzenia historyczno-filologicznego. W obu tych dziedzinach Bruchnalski położył zasługi niespożyte, jako wydawca i komentator dzieł Reja, Krasickiego, Kaczkowskiego, Mickiewicza. Oprócz doskonałych studjów porównawczych jak „Mickiewicz — Niemcewicz“ „Mickiewicz a Moore“, pisze o teorji poezji, poetyce, o moralistyce polskiej (w pysznej rozprawie: „Rozwój twórczości M. Reja“) wreszcie o renesansowym uniwersalizmie Kopernika. Obecnie z okazji stulecia Zakładu Nar. im. Ossolińskich przygotowuje obszerną monografję tej instytucji.

W artykułach dziennikarskich i w pięknych uroczystościach jubileuszowych, urządzonych przez „Koło Polonistów Studentów Uniw. Lwowskiego“, a następnie przez „Towarzystwo Mickiewiczowskie“, przez przyjaciół i byłych uczniów jubilata, składano hołd wybitnemu uczonemu, a dobremu i prostemu człowiekowi. Serdeczne przemówienie wygłosił prof. uniw. warszawskiego Bronisław Gubrynowicz, wręczając jubilatowi wspaniałą księgę pamiątkową, na którą składają się cenne rozprawy kolegów i uczniów Bruchnalskiego.[1]) Prof. Juljusz Kleiner świetnie i obszernie scharakteryzował działalność naukową jubilata.[2]) Delegat Polskiej Akademji Umiejętności i Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Ignacy Chrzanowski, w porywającej mowie podkreślił gorący patrjotyzm i szczerą polskość Bruchnalskiego. Mówca przypomniał, iż Bruchnalski pierwszy przeciwstawił się zdecydowanie austrjacko-niewolniczej interpretacji „Konrada Wallenroda“ jako poematu potępiającego zdradę. Bruchnalski pierwszy uczył, że w tragicznych momentach życia narodowego niema zbyt wielkiej ofiary, którejby jednostka w imię zbawienia ojczyzny nie mogła ponieść — oto jest prawdziwy sens dzieła Mickiewicza.

Pokolenie młode i najmłodsze krytyków literatury polskiej zwraca się po części ku zagadnieniom innym, niż starsi, interesuje się coraz żywiej badaniem estetycznej zawartości dzieł literackich i syntetycznem ich ujęciem, ale niemniej rozumie doniosłość pracy historyczno-filologicznej. Bez niej nie było można — i nigdy nie będzie można — marzyć o poważnej, nieblagierskiej analizie i syntezie estetyczno-literackiej. To też wobec jubileuszu znakomitego historyka i filologa młodzi poloniści połączyli się w hołdzie z pokoleniem starszem.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

JEAN RICHEPIN
(1849 — 1926)

W WILLI Guibert, pod Paryżem, zmarł w 77 roku życia znany poeta, członek Akademji Francuskiej, J. Richepin, niegdyś bożyszcze bulwarów i knajp dzielnicy łacińskiej, jeden z przywódców cyganerji literackiej, i sam „cygan“ życiowy z temperamentu i fantazji; — piewca wszelkiego rodzaju włóczęgów i nędzarzy, sam włóczęga romantyczny, rozkochany w życiu awanturniczem, niezwykłem.

Pół wieku temu (1876 r.) wsławił się Richepin odrazu zbiorem poematów p. t. „*Chanson des Gueux*“,

[1]) Jest to ostatni rocznik „Pamiętnika Literackiego“ za r. 1925/26, objętości przeszło 700 str. druku (w dwu częściach).

[2]) Przemówienie prof. Kleinera wydrukowano w broszurze wydanej przez Komitet jubileuszowy. Ponadto znajduje się tam przemówienie stud. St. Kawyna i bibljografja prac Bruchnalskiego zestawiona przez St. Vrtel-Wierczyńskiego.

w których urągał wszystkiemu, co było ładem burżuazyjnym, moralnością i obyczajem konwencjonalnym, przeciwstawiając temu ideał życia niekrępowanego żadną regułą społeczną.

W tym pierwszym zbiorku znajdują się już w zarodku wszystkie ulubione tematy, następnych utworów Richepin'a — poezyj, powieści, dramatów. (*Les Blasphèmes, Le Chemineau, La Mer, Le Flibustier, Les Truands, La Glu* i t. p.)

Było w tem wszystkiem dużo zamaszystej i płytkiej negacji, było hałaśliwe i zadzierzyste chełpienie się rozpustą i złemi obyczajami, była swawola żakowska i ukochanie skandalu, prowokującego sytego episjera francuskiego (tradycyjne rozrywki poetów romantycznych); ale był tu także wyniosły i szlachetny gest *à la Cyrano de Bergerac*, była odwaga i namiętność szczera, gdy chodziło o obronę wydziedziczonych i pokrzywdzonych. Nadewszystko jednak było dużo retoryki, pysznej swady poetyckiej, dużo słów dźwięcznych i malowniczych. Od czasu Wiktora Hugo, nikt z poetów francuskich, nie miał większego rozmachu retorycznego od Richepin'a.

Muza jego nie urodziła się, co prawda, w Wersalu, była zbyt nieraz gwałtowną i nieokrzesaną i, jak sam mówił, „zanadto mocną w pysku" („*un peu trop forte en gueule*"), ale dużo kochała, dużo jej więc w końcu przebaczono. Kochała ziemię ojczystą, ludzi prostych, ich prace i znoje; ponad wszystko jednak wielbiła gorąco jędrną, pełną nieocenionych skarbów mowę ludu.

Po wielu latach burzliwego, koczowniczego żywota, znużony monotonną banalnością „codziennie zwijanego i rozwijanego namiotu", zeskoczył Richepin z „budki wędrownej" — jak się o nim wyraził M. Barrès — i poczuł potrzebę współdziałania z czemś, co go przeżyje, zlania się z tem, co trwa i kwitnie, gdy życie jednostki przejdzie i zatrze się w pamięci świata.

Z koczownika stał się członkiem gromady osiadłej, służył jej, duszę własną zlał z jej duszą.

W. J.

SLAVIA OCCIDENTALIS

W Nr 16 „Myśli Narodowej" r. z. (str. 252) zapowiadałem rychłe ukazanie się T. V. jedynego u nas pisma slawistycznego „*Slavia Occidentalis*". Tom ten obecnie już się ukazał i imponuje zarówno rozmiarami (z górą 600 str.), jak i treścią,*) przynosząc prawdziwą chlubę Instytutowi Zachodnio-Słowiańskiemu uniwersytetu poznańskiego i jego kierownikowi, prof. Mikołajowi Rudnickiemu. Zasłużony ten badacz jest redaktorem „Slavii occ."; jego zasługą jest utrzymanie bytu pisma, gdy tyle innych wydawnictw tego rodzaju ostatniemi czasy zamarło, ponadto dobór współpracowników i nadanie zasadniczego tonu, jakim jest zgłębianie zabytków kulturalnych i językowych Słowiańszczyzny lechickiej (polsko-połabskiej). Jego pióra są w obecnym tomie „Slavii" trzy artykuły: jeden zajmuje się wyjaśnieniem kilku sufiksów rzecznikowych, drugi tłumaczy nazwę i dzieje „ziemi wańskiej" koło Gniewa, trzeci roztrząsa nazwy bóstw lechickich, przekazane przez Długosza i innych kronikarzy. Do kwestji tej, po dziś dzień budzącej liczne spory (bynajmniej nie zamknięte książką Brükner a o mitologji słowiańskiej) powraca Rudnicki jeszcze „w dziale krytycznym, omawiając rozprawę Łęgowskiego (Nadmorskiego) „Bóstwa i wierzenia religijne Słowian Lechickich"; ciekawym przyczynkiem do mitologji słowiańskiej jest rosyjska rozprawa G. Iljińskiego „Dzidzilelia Jana Długosza"—z powodu chwilowego braku czcionek rosyjskich wydrukowano tę rozprawę czcionkami łacińskiemi według zasad konwencjonalnej transkrypcji słowiańskiej, niebawem jednak — w tomach następnych brak ten będzie usunięty. Językiem dolno-łużyckim napisana jest gruntowna praca prof. dr. E. Muki „*Serbskie miestnostne mienia a jich voznam*" (Sorabskie nazwy geograficzne i ich znaczenie), czytanie jej nie przedstawia dla Polaka wielkiej trudności (języki łużyckie, zwłaszcza górno-łuż., niezmiernie są zbliżone do polszczyzny), a korzyść może przynieść niemałą, gdyż niestety weszło już u nas w zwyczaj używanie niemieckich nazw miejscowości, położonych na terytorjum słowiańskiem. Pożyteczną też rzeczą byłoby dla szerszego ogółu zaznajomienie się z pracą Bolesława Ślaskiego „Z terminologji żeglarskiej"; jest to jedna z wielu cennych prac Ślaskiego, które tak pięknej oceny doczekały się w dziełach Żeromskiego („Snobizm i postęp". „Wiatr od morza", „Międzymorze") — niestety zawodowi marynarze często nie wiedzą nawet, że badacz ten wydał gruntowny i dokładny słownik marynarski, oparty na szeregu źródeł staropolskich i nowszych; nie zadał sobie takiej fatygi nawet autor oficjalnego podręcznika marynarki, sztorman (obecnie generał) Marjusz Zaruski, który przeszczepił do nas żywcem terminologję — rosyjską, nawet z jej fonetycznemi właściwościami! Druga rozprawa Ślaskiego zajmuje się „Szczątkami języka dawnych słowiańskich mieszkańców wyspy Rugji". Prof. Brükner w artykule „Z dziejów Słowiańszczyzny północno-zachodniej", polemizując z uczonym rosyjskim Jegorowem, tłumaczy przyczynę nagłej germanizacji słowiaństwa meklenburskiego, rugijskiego i pomorskiego. Józef Łęgowski w pracy „Ukazanie się Słowian lechickich nad Bałtykiem" udowadnia na podstawie szeregu autorów starożytnych (Herodot, Pyteasz, Plinjusz, Ptolemeusz i in.), że naprzekór twierdzeniem Niemców, opierających się na utopijnej „Germanji" Tacyta, Słowianie już w czasach starożytnych zajmowali terytorjum od Bałtyku po Dunaj. Sprostowanie wielu fałszów i błędów uczonych niemieckich zawiera recenzja prof. A. Kleczkowskiego, omawiająca Sturmfelsa „*Etymologisches Lexikon deutscher Ostnamen*"; krytyką wyrazów słowiańskich w słownik Henniga i in. zajmuje się I Lehr-Spławiński w „Etymologjach połabskich". Etymologii nazwy Tczewa poświęca niemiecką rozprawę znany badacz kaszubszczyzny F. Lorentz którego książkę „*Geschichte der Kaschuben*" krytykuje na innem miejscu K. Tymieniecki, wytykając autorowi, jako główną wadę, że traktuje Kaszubów odrębnie od wielkiej grupy etnicznej słowiańsko - pomorskiej oraz że jednostronnie, po germanofilsku, ocenia stosunek Kaszubów do Polski i Niemiec.

Specjalnie badaniu przeszłości Wielkopolski są poświęcone dwie obszerne i gruntowne prace: pierwsza z nich ks. St. Kozierowskiego „Pierwotne osiedlenie Warty od Koła do ujścia w świetle nazw geograficznych" ma znaczenie nietylko dla lingwistów, historyków i geografów (wiadomo, ile błędów spotyka się na najlepszych nawet naszych mapach!), ale i dla polityków, jeżeli chcą mieć realne podstawy co do słuszności (czy niesłuszności) naszych granic zachodnich; druga — dr. J. Kostrzewskiego „Cmentarzysko z wczesnego i środkowego okresu lateńskiego w Gołęcinie", podkreślając wartość ceramiki z okresu kultury „łużyckiej" a w szczególności popielnic z okresu rzymskiego, stwierdza, że taki niezmącony niczem, konsekwentny rozwój rytuału pogrzebowego mógł się dokonać tylko w o b r ę b i e j e d n e g o l u d u, s i e d z ą c e g o b e z p r z e r w y n a s w e j z i e m i, a za taki lud mogą być uważani jedynie nasi przodkowie, S ł o w i a n i e L e c h i c i". Niezmiernie ciekawa jest rozprawa najtęższego z naszych numizmatyków, dr. M. Gumowskiego: „Język na monetach polskich". Dowiadujemy się z niej, że na pieniądzach naszych, począwszy od denara Mieszka I, a skończywszy na dukatach z 1831 r., przeważały napisy łacińskie, jednakowoż zdarzały się wyjątki na rzecz innych języków, „mające zawsze pewien głębszy historyczny czy socjalny podkład". Tak więc spotykany denar Chrobrego z napisem słowiańskim, następnie napisy ruskie (za Witolda i Kaz. Jagiellończyka), rosyjskie (na złotówkach z 1832 r.), hebrajskie (za Mieszka III) i niemieckie (XVI w.), polskie zaś istniały tylko na Śląsku, a w państwie polskiem dopiero od Augusta III. Całą książkę kończą streszczenia (*resumés*) francuskie, bardzo pożądane dla zagranicy, zwłaszcza, że „*Slavia occidentalis*" rozchodzi się szeroko w uczonych kołach na Zachodzie Europy, zdobywając sobie należne uznanie i reprezentując dzielnie naukę polską wobec cudzoziemców. Powinszować uniwersytetowi poznańskiemu tej wspaniałej (a nie jedynej) naukowej publikacji. Kiedyż na rzecz podobną (i wogóle na jakiejkolwiek publikacje naukowe) zdobędzie się uniwersytet warszawski i obumierające Towarzystwo Naukowe Warszawskie?

JÓZEF BIRKENMAJER

*) Instytut Zachodnio-słowiański przy uniwersytecie poznańskim. „Slavia occidentalis" Tom V. Redaktor Mikołaj Rudnicki. Poznań, 1926. Gebethner.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Piewszy zbiorek młodego poety Miłosza G e m b a r z e w s k i e g o, który teraz się ukazał, nosi tytuł „Biały pióropusz". Chwała rycerska przodków stanowi główny motyw tęsknot poetyckich autora do przeszłości historycznej wogóle. Dobre poczucie tej przeszłości jest tłem jego uczuciowości. Dzieje ojczyste zakwitają w nim kwieciem uczuć synowskich, w których męska duma gra niepoślednią rolę.

„Jest ponademną ogromna powaga
Ojców, co każą mi wrócić do ziemi,
Zwisa nademną ich broni stal naga
I pakt zawarłem wiekuisty z Niemi..."

Oto zasadniczy ton duszy Gembarzewskiego. Obcowanie młodego pokolenia z grobami ojców mistycznym dreszczem ogar-

nia literaturę, w której się rodzi wiecznie nowa myśl narodu. Powagą i namaszczeniem brzmią te pieśni wśród kwileń współczesnej jazzbandowej piosnki. Męski ton ojcowskiego dla narodu instynktu w rozmowach z ojcami daje poezjom Gembarzewskiego charakter dramatyczny. Z góry zapowiada w prologu, że jego

„Muza nie po łacinie, lecz po rzymsku powie
O imionach portretów, bledniejących w pyle.
Oni są, choć odeszli, Narodu posłowie,
Siłą ducha świadczący o Narodu sile...“

Gembarzewski należy do tych rasowych potomków Narodu, w których duszy dzieje stare mają swoją obecność i wespół z żywymi pracują na przyszłe pokolenia. Ta obecność ożywia się w uczuciu poetyckiem i znajduje wyraz plastyczny w strofach zwartych, skraplających w łzę liryczną lub w rosę dziejową to, co historyk dawałby tomami. A w podstawie tych uczuć leży kult przodków rodowych. Dusza poety, „zapatrzona w blask pióropusza“ pradziada, drży do niego w tęsknocie:

„A On dłonią skroś pancerza
Z piersi swojej róże bierze
I w mej piersi kładzie głębie
Dłonią białą jak gołębie.
Oplatając w krąg ramieniem,
We mnie mocą wszedł tajemną
I jest ze mną... wiecznie ze mną!“

Talent Gembarzewskiego dał się poznać czytelnikowi „Myśli Narodowej“ również z prozy, w której — jak to widzieliśmy w noweli „Magnificus Dominus“ (1926.II. str. 29 i 48)—z umiłowaniem traktuje motywy archiwalne.

Jaki los będzie tego dobrze zapowiadającego się w swej męskości talentu, trudno wróżyć. Możemy tylko życzyć mu dobrych warunków rozwoju. Oby ta gwiazdka, ktorej w dani złożył teraz pierwsze swoje dzieło, świeciła mu w drogę pomyślną!

*

Najwybitniejszem wydarzeniem literackiem z okresu przedświątecznego, rzetelną „gwiazdką“ literacką okazała się powieść Wł. Perzyńskiego „Nie było nas, był las“, wydana nakładem Gebethnera i Wolffa. Jest to powieść współczesna obyczajowa z życia Warszawy, oparta na bardzo bystrych obserwacjach psychologicznych i świetnie napisana. W literaturze polskiej pozostanie w rzędzie najwybitniejszych powieści.

*

Po dłuższem milczeniu drugą już książkę o scenie polskiej ogłasza drukiem Józef Kotarbiński. W tym zbiorze studjów, krytyk i wspomnień pod ogólnym tytułem „Ze świata ułudy“ (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1926) zawarł sędziwy a tak zasłużony kierownik teatrów, krytyk, artysta dramatyczny plon swych długoletnich myśli o teatrze polskim, jego przeszłości i jutrze. Wartość tej książki podnosi fakt, że pisał ją wysoce wykształcony teoretyk-krytyk a równocześnie uzdolniony inscenizator i aktor. Jest to więc dzieło rzeczoznawcy w najlepszem znaczeniu wyrazu.

Sztuka aktorska jest dla aktora sztuką odwórczą w której aktor od ogółu dochodzi do szczegółów; obowiązkiem aktora jest dostosować styl gry swojej do stylu autora utworu, tam zaś, gdzie istnieje możność po temu, aktor może na swój sposób interpretować bohatera. Twórczy talent aktora znamionuje intuicja i wiara artystyczna, zdolności przejmowania się rolą i tworzenia tego „świata ułudy“, który jest światem sztuki.

Na szeregu znakomitych przedstawicieli sceny polskiej od lat kilkudziesięciu unaocznia Kotarbiński ewolucję naszego teatru, fazy rozwojowe w sztuce gry — od zasady solowej po przez zespoły do najnowszych postulatów. Szczególny nacisk kładzie autor na zaniedbany u nas od pewnego czasu a tak szlachetny kunszt dobrej dykcji.

Zapoznajemy się z działalnością Kotarbińskiego, jako dyrektora teatru krakowskiego. Działalność ta w kierunku popierania dzieł dramatycznych o najwyższych walorach literackich, począwszy od Słowackiego i Wyspiańskiego, zapisuje nazwisko Kotarbińskiego na złotej karcie historji sceny polskiej.

Interesuje go też i twórczość autorów — dramaturgów. Spotyka my się z analizą utworów Wyspiańskiego, Przybyszewskiego, Staffa, Rittnera, Rostworowskiego i innych, oświetlanych ze stanowiska wysokiej kompetencji i gorącego pietyzmu dla poezji.

Związany głęboko z tradycjami sceny polskiej nie hołduje Kotarbiński żadnym przesądom. Dlatego, zwalczając dziwolągi nowoczesnego wyrobu, różne ekspresjonizmy, gwałcące prawa sceny, podkreśla sam doniosłość ewolucji teatralnej, polegającej na ścisłej spółpracy aktorów, literatów, malarzy i reżyserów.

W swej książce porusza Kotarbiński wszystkie niemal aktualne zagadnienia teatru, a że czyni to przytem z myślą o potrzebach „naszej rodzimej kultury“, daje dzieło pierwszorzędnej wartości. Dla spółczesnych krytyków teatralnych, tak często nie orjentujących się w sprawach sceny, jest to prawdziwa podręczna encyklopedja, do której zawsze warto zajrzeć przed pisaniem recenzji.

K.

*

Wydana niedawno książka B. Dyakowskiego „Z Puszczy Białowieskiej“. (Nakład Gebetnera i Wolffa. Warszawa, 1926.) zawiera wrażenia z puszczy, ujęte w formie opowidania o przygodach, których doświadczyło kilku studentów z Warszawy, w czasie wycieczki wakacyjnej. Opowiadania te wydane były po raz pierwszy w r. 1908 i przedstawiały stan rzeczy pod zarządem rosyjskim. Następnie działania wojenne, przechody wojsk i rabunkowa gospodarka niemiecka zniszczyły drzewostan i zwierzostan w tej najpiękniejszej puszczy polskiej. Dopiero za czasów naszej państwowości można było zabrać się do racjonalnego zalesiania i eksploatacji, co, niestety, dokonywane było nie zawsze szczęśliwie, jak wiadomo z słynnego faljetonu ś. p. Władysława Rabskiego pod tytułem „Ostatni żubr“ i dochodzeń wdrożonych w konsekwencji tego apelu przez sejm i organy władzy. Autor, wydając nanowo swą książkę, zaznaczył różnicę minionych i obecnych stosunków i odmalował wrażenia swej wycieczki plastycznie, z odczuciem i zrozumieniem przyrody.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Wyszła z druku zapowiadana przez nas książka prof. Romana Rybarskiego „Naród, jednostka i klasa“ (Gebethner i Wolff). Kapitalne to dzieło znajdzie się niewątpliwie w ręku wszystkich, interesujących się podstawowemi zagadnieniami życia społecznego.

*

Bardzo doniosłem wydarzeniem w naszej literaturze etnologicznej jest obszerna książka Prof. Adama Fischera: „Lud polski podręcznik etnografji Polski“, opr. z zasiłku M. W. i O. P. Lwów. Ossolineum 1926.

Jest to książka służąca jako uzupełnienie w szkołach średnich, jako przygotowanie do studjów wyższych, a przedewszystkiem orjentująca nas w bogatym materjale rodzimej etnografji, oświetlonym ze stanowiska najnowszych metod naukowych.

Szczególnie obszernie i zajmująco została opracowana kultura materjalna ludu, to, co przechowało w sobie tradycję, sięgającą nieraz czasów przedhistorycznych w budownictwie, ornamentyce, ubiorze.

W kulturze społecznej zaznajamiamy się z obrzędowością narodzin, wesela, pogrzebu, ze zwyczajami domowemi na różne święta, wreszcie z prawem ludowem.

W kulturze duchowej mamy obszernie traktowane wierzenia i przesady, pieśni ludowe i t. d. Ta kultura nie przedstawia się niestety tak obficie i zajmująco jak u innych ludów. Cechuje ją zbyt wielka naiwność i mała twórczość.

W całości swej jest to książka, pobudzająca do zastanawiania się nad faktami kultury, nad problemem rodzimości i z tego względu niewątpliwie cenna.

*

W wydawnictwie Warsz. Inst. Filozoficznego „Bibljoteka Filozoficzna“ ukazało się dziełko głośnego w XVIII w. materjalisty, de la Mettrie'go (J. O. de la Mettrie—„Człowiek—maszyna“. Przełożył S. Rudniański, Warszawa, Hoesick 1925). Znakomity lekarz, miłośnik filozofji i nauk przyrodniczych, znawca literatury pięknej, filozof, satyryk, pamflecista, rzetelny badacz, namiętny prawdomówca, paradoksalny i zaczepny—de la Mettrie, jako najjaskrawszy materjalista swego czasu zyskał sobie olbrzymi rozgłos i ogromną liczbę wrogów. Klasyczne jego dziełko psychologiczne „Człowiek-maszyna“ (1747) uznano za *„pestilentissimum libellum“*.

Dużo i ostro mówi się u nas dla szerokich mas o materjalizmie, ale materjały czerpie się z drugiej i trzeciej ręki. Zaznajomienie się z klasycznym przedstawicielem materjalizmu jest dla celów krytyki bardzo wskazane. Rozważania o wyobraźni, o zależności spraw duchowych od procesów w organizmie, o instynkcie, o prawie naturalnem ilustrują znakomicie ducha wieku.

Jakkolwiek przekreślamy dziś ten cały materjalizm, jednak z odwagi wiedzy, zdolności obserwacji i pogody myśli de la Mettrie'go możemy się — nie śmiać.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W ciekawym Zbiorze wydawanym przez Plon'a *„Le Roman des grandes existences“* wychodzi nowa książka pióra p. Louis Dimier p. t. *„La Vie raisonnable de Descartes“*, która niewątpliwie zainteresuje elitę intelektualną. Sposób w jaki p. Dimier ujął życie Descartes'a pozwoli nietylko zapoznać się z jego historją, ale lepiej zrozumieć i głębiej wniknąć w jego filozofję.

*

Marszałek Lyautey, wielki organizator Marokka, publikuje *„La Rèunion de la Loraine à la France“* (Plon). W dziele tem, w szerokich zarysach kreśli on historję Lotaryngji, która

jest jego bliższą ojczyzną. Konkluzja, do jakiej dochodzi, zasługuje specjalnie na uwagę i może poniekąd być ostrzeżeniem. Marszałek Lyautey, podobnie jak Maurycy Barrés, jest zdania, że Lotaryngja powinna zachować osobowość własną: szanowanie miejscowego patrjotyzmu jest, jego zdaniem, jedynym sposobem utrzymania żywotności patrjotyzmu francuskiego.

*

Mac Orlan wyda niedługo książkę p. t. „*Brest*". Autor „*Le Chant de l'Equipage*" zna doskonale międzynarodowe życie miast portowych i jest wielkim miłośnikiem historji korsarzy i piratów.

*

P. Jean — Louis Vaudoyer, znany pisarz francuski, kieruje bardzo ciekawem wydawnictwem, publikowanem przez Emile — Paul, a noszącem tytuł „*Portrait de la France*", dzięki któremu czytelnik może zapoznać się nietylko z pierwszorzędnymi autorami, ale także z samą Francją, jej osobliwościami, bogactwami sztuki, specjalnym charakterem każdej prowincji. W zbiorze tym wyszły już „*Bordeaux*" pióra François Mauriac, „*Marseille*" przez Edmond'a Jaloux, „*Lille*" przez René Jouglet, „*Nancy*" przez Raymond'a Schwob. Obecnie zaś ukazać się ma „*Perpignan*", którego autorem jest Joseph Delteil.

*

Nagrodę Akademji Goncourtów otrzymał w tym roku mało znany powieściopisarz Henryk Deberly za powieść „*Le Supplice de Phèdre*". Głosowano siedem razy; padały głosy na G. Bernanos'a, autora głośnej powieści „*Sous le soleil de Satan*", na H. Pourrat („*Le Mauvais Garçon*") i na paru innych, wkońcu zwyciężył Deberly. Nagroda „Femina" dostała się tym razem cenionemu autorowi powieści wiejskich Ch. Silvestre „*Prodige du Coeur*" i „*Dans la lumière du Cloitre*".

*

We Włoszech, tak jak potrosze wszędzie po wojnie, zaznaczył się wielki kryzys książki, wywołany brakiem czytelników i brakiem zainteresowania ogółu sprawami umysłowemi. By zapobiec temu, ogłoszona została tak zwana „Batalja książkowa"; na czele komitetu promotorów tej akcji stanał senator Henryk Corradini. Komitet zajmuje się badaniem sposobów rozpowszechnienia książki wśród wszystkich klas społecznych, a następnie pragnie on z pomocą rządu przystąpić do odświeżenia księgozbiorów w bibljotekach już istniejących i do zakładania nowych bibljotek. Cała prasa popiera tę inicjatywę, podnosząc że prócz obojętności ze strony ogółu wpływa też na kryzys obecny niekompetencja firm wydawniczych, które często drukują książki miernych autorów, nie mogących naturalnie mieć powodzenia. I w tym względzie „Batalja książkowa" mieć będzie doniosłe skutki, gdyż stawia sobie za cel doprowadzenie do wydawania dobrych książek i dzieł autorów wyborowych.

*

Książę Di Scalea, do niedawna minister kolonji, wydał pod tytułem „*La rinascita della Tripolitania*" studja i wspomnienia czteroletnich rządów w Trypolitanji obecnego ministra Finansów, hrabiego Volpi di Misurata, (Wyd. Mondadori 1926). Książka daje obraz wyczerpujący akcji Volpiego na stanowisku gubernatora tej ważnej dla Włoch placówki. W pracy swej, nacechowanej wielką śmiałością pomysłów i olbrzymią energją, Volpi doznał skutecznego i dzielnego poparcia ze strony rządu faszystowskiego, który, rzec można pierwszy, zrozumiał znaczenie i doniosłość dobrze zorganizowanej akcji kolonjalnej w rozwoju Państwa Włoskiego.

*

Bardzo odległe wydają się już dziś czasy ciężkich trudów wojennych i wysiłku narodu włoskiego, by wywalczyć zwycięstwo. Przypomina je w całej ich złowrogiej piękności wydawnictwo Biura historycznego włoskiego sztabu Generalnego w książce zatytułowanej „*Le grandi Unità nella guerra italo—austriaca*". Zebrane tu są nazwiska wszystkich dowódców armij i członków Sztabu Generalnego od Jego Kr. M. Wiktora Emanuela do szefów dywizji; wyliczone są wszystkie korpusy i dywizje. W dwu tomach, zawierających przeszło 1000 stron, przesuwają się przed oczyma czytelnika w prostym wojskowym stylu: akty, rozkazy i czyny najdzielniejszych wodzów, z cichym i mężnym generałem Cadorną na czele. Wspaniały jest obraz Emanuela Filiberta, księcia Savoia—Aosta, uwielbianego przez żołnierzy wodza III Armji, która zwłaszcza odznaczyła się w chwili zawahania i kryzysu pod Caporetto. Poza tem cały szereg generałów wyższych i niższych, z generałem Diazem, następcą Cadorny, w głównym dowództwie. Książka daje obraz faktyczny tego, czem był front włoski w ostatniej krwawej rozprawie z mocarstwami centralnemi.

*

Ostatni zeszyt miesięcznika „*L'Europa Orientale*" podaje krótkie wspomnienie o zmarłym prof. A. Palmierim i bibliografję jego prac, która zajmuje 14 stronic. Pozatem umieszczono tu ostatnią pracę zmarłego, poświęconą polityce Stanisława Staszyca. („*La Politica cristiana di Stanislao Staszyc*"). W tym zeszycie znajdujemy nadto dalszy ciąg studjów prof. Lo Gatto o Bolesławie Prusie i rozprawę E. Zagorowskiego p. t. „*La Russia e l'Italia del Risorgimnito*". W dziale sprawozdań E. de Andreis pisał o książce Z. Dębickiego „Podstawy Kultury Narodowej".

*

Pod patronatem włoskiego następcy tronu został powołany do życia z siedzibą we Florencji, Instytut Narodowy, którego zadaniem jest rozwój twórczości rodzimej. (*Istituto Nazionale per l'arte della Stirpe*). Wśród założycieli instytutu są wszystkie najwybitniejsze osobistości Włoch współczesnych, z B. Mussolinim na czele. Gubernatorem Instytutu jest rektor Uniwersytetu Florenckiego, prof. Burci. Instytut posiada licznych przedstawicieli w Europie. W Polsce na członków delegatów zostali powołani: senator Wł. Jabłonowski i poseł Jan Zamorski.

*

Wśród różnych kół niemieckich rozlega się głośne wołanie o wodza o warstwę rządzącą, o ludzi mocy. Stąd pragnie się wychować taką kastę lub apoteozuje się dawną szlachtę przypuszczając, iż dokona reform socjalnych w duchu rodzimym germańskim. Wyrazem tych tendencyj jest ostatnio książeczka L. Andressena „*Der sterbende Parlamentarismus, Diktatur oder Selbstregierung*" ukazująca na pragermański ustrój Fryzów. jako na system, który uleczy dziś wszelkie słabości.

*

O ile Goethe nie cieszy się sympatją germańskich nacjonalistów, a klasycyzm i spokój jego drażni ich,—o tyle Schiller ceniony jest za swą bojowniczość. Starał się to wykazać ostatnio Max Wundt (jeden ze zdolniejszych teoretyków germańskiego odrodzenia) w rozprawce: „*Was kontne uns Schiller noch sein*".

*

W dziedzinie socjologji wiedzy zanotować trzeba pojawienie się w tym roku dwuch poważnych i cennych dzieł. Jedno to znanego filozofa Maxa Schelera „*Wissenschaftsformen und Gesellschaft*" — a drugie prawnika i filozofa Sauera „*Grundlagen der Wissenschaften*". Oba przynoszą ciekawe spostrzeżenia co do stosunku form wiedzy i nauki do form życia społecznego.

*

Bardzo ciepłe, niemal serdeczne, wspomnienie o Władysławie Mickiewiczu w „*Die literarische Welt*" (22 X 1926) drukuje Ernst Rutra.

*

W dobrze znanej serji „*English Men of Letters*", którą przez długi czas kierował krytyk i znakomity mąż stanu John Morley, — ukazało się studjum J. B. Priestley'a o George'u Meredith'ie. Praca Priestley'a o świetnym powieściopisarzu doby wiktorjańskiej napisana jest sumiennie i z pietyzmem. Szczegóły biograficzne zestawiono pilnie i trafnie; autor nie idealizuje osoby Meredith'a, lecz bystro wskazuje na przeróżne słabości jego charakteru. Słusznie czyni Priestley wysawaiąc na plan pierwszy w ocenie twórczości pisarza jego wspaniałą i żywą wyobraźnię. Meredith to przedewszystkiem poeta — tak brzmi zasadnicza teza studjum. Wysokie wzloty natchnienia sąsiadują u niego z rzeczami blademi i pisanemi w nadmiernym pośpiechu. Atmosfera jego utworów przesiąknięta jest ożywczą wiarą w moc ludzkiej duszy i młodzieńczą żarliwością. Źródłem tego „idealizmu" Meredith'a jest — zdaniem krytyka — ruch oxfordzki („*the Oxford movement*"), na którego czele stała płomienna postać kardynała Newmana. W Meredith'ie — mówi Priestley — znajdują się zalążki wielkich myśli, które rozwiną późniejsze pokolenia: „Meredith" pisze autor „*ist still abreast of the age, and perhaps in front of it. Nearly all the soundest things in recent thought have been sketched somewhere in Meredith*". Triumfem Meredith'a jako artysty jest ta nowa wizja rzeczywistości, jaką daje w swych utworach. Uwaga Meredith'a ześrodkowuje się niemal całkowicie na postaciach głównych — to też figury drugorzędne wychodzą z małą stosunkowo wyrazistością. Meredith podkreśla ustawicznie w swej twórczości związek człowieka z przyrodą i wspólność tę uważa za bardziej pierwotną, niż związek człowieka z człowiekiem. W postaciach swych powieści uwydatnia Meredith działanie odwiecznych praw życia; myśl twórcy interesują zawsze te tajemnicze źródła i moce życia, z których rodzi się i powstaje indywiduumy.

Książka Prestlev'a stanowi cenny przyczynek do poznania postaci i twórczości Meredith'a — za usterki pracy należy uznać zbyt pośpiesznie rzucane tu i owdzie syntezy, które nie zawsze stoją w zgodzie z następnie przeprowadzanym wywodem analitycznym.

TEATR

NOWA KOMEDJA PERZYŃSKIEGO

Wystawioną w teatrze Narodowym komedję Włodzimierza Perzyńskiego „Uśmiech losu“ publiczność przyjęła z prawdziwem zadowoleniem. Słuchano jej od początku do końca z natężoną uwagą. Perzyński ma w literaturze i w teatrze sławę, ale tą sztuką zdobył serca na nowo. Uważam za rys zasadniczy widowiska serdeczny dla autora nastrój, który się wzmógł w akcie ostatnim, kiedy doszło do rozwiązania ku triumfowi człowieka uczciwego.

Zbytnio się w krytyce lekceważy myśl o życiu, w sztuce wcielaną. Perzyński złożył rzadko teraz w teatrze spotykany hołd człowiekowi. To jest siłą utworu główną, na którą powinni zwrócić uwagę krytycy, odmawiający Perzyńskiemu pochwały za budowę komedji, bo inaczej nie zrozumieją, dlaczego sztuka ma wielkie powodzenie.

Perzyński zainteresował się pomijanym zwykle w chemji życia wielkomiejskiego pierwiastkiem, „sumieniem“. Co też się z niem dzieje w świecie, znanym z prasy, z rubryki zdarzeń i procesów? Wybrawszy tedy — jakby na chybił-trafił — miejsce efektowne, o które biedni duchem ludzie współzawodniczą, jak o nagrodę szarych dni swoich, podjął stamtąd garstkę szumu do analizy.

Podpatrzył dajmy na to scenę w Oazie, w czasie zabawy. Mogła mu się wydać ta zabawa dramatyczną, jakby się odbywała nad brzegiem przepaści. Dancing, a więc niewiasty o smukłych pończoszkach i górnych obnażeniach — przy stoliku paskarza tłok — szampan — sprzeczka, policzek, strzał — policja... W dzienniku pół minuty czytania, dla znajomych sensacja na parę dni. Ale gdy to weźmie w epruwetkę swego talentu dobry pisarz, to pod światło dojrzy ciekawe związki życiowe. Skąd się wzięli koło jednego stolika cham zbogacony, kokota, filozof, jakiś młodzieniec eleuteryczny? Perzyński odtworzył z tej próbki dramat, dziejący się stale z człowiekiem kulturalnym na targowisku chamstwa i nieprawości.

Bywalcy premjerowi, wyczuwszy ten dramat, chodzili przez trzy antrakty zaniepokojeni: jakże to — na afiszu komedja, a tu dramat? Zapanowała w teatrach konwencja rozrywki, polegająca na tem, żeby nie pokazywać na scenie człowieka, bo go już dość w życiu. Prawda — to dramat, a prawdą jest człowiek pełny, podgłębiony sumieniem. Nie dotykać spraw sumienia! Zapomniano już o tem, że komedja jest postacią sztuki dramatycznej.

Postać „inteligenta“ Siewskiego, głodomora, który wpadł pod kopyta bogatego chama i bohatersko wydobył się z błota, będzie należała do najpiękniejszych w galerji współczesnych typów dramatu. Myślą przewodnią Perzyńskiego było ukazanie dwóch sfer jasnych w społeczeństwie: 1) prawdziwej inteligencji, tej mianowicie, która poddaje kulturze nie tylko umysł, lecz i sumienie. To jest czynik rozwojowy, łatwy do zniszczenia przez chamstwo. 2) Czynnik ten staje się w społeczenstwie siłą pozytywną przez połączenie ze sferą ludzi zdrowego instyktu społecznego — ludzi pracy i prostego serca. Ci stanowią o normie życia etycznego w społeczeństwie. Perzyński obłąkanym żądzą użycia mieszczuchom ukazał, gdzie pod błotem wielkomiejskiem zaczyna się twardy grunt, na którym można budować przyszłość. Ludzie prostego serca, ludzie pracy i surowego obyczaju podają rękę Siewskiemu i ocalają go. Tutaj dopiero zdeklasowany przedstawiciel kultury duchowej znajduje oparcie i możność wciągnięcia w piersi czystego powietrza, tutaj dopiero odzyskał prawo mieć sumienie.

Nie jest to bynajmniej sztuka robiona na tezę, ani moralizatorska. Ale staje się nauką przez to, że ujawnił się w niej pisarz mądry z jasnym na życie poglądem. Pod tym względem „Uśmiech losu“ stawia Perzyńskiego w pobliżu Grzymały-Siedleckiego, którego „Spadkobierca“ jest również deklaracją na rzecz zdrowia moralnego. Twórcy ci przerywają nareszcie ród pisarzy, tworzący dla Kozłowskich. Jest to piękny dla literatury horoskop, że na widnokręgu ukazują się Siewscy i Czulińscy, reprezentanci zdrowia moralnego. Duch czasu wzywa ich na odsiecz, abyśmy raz uwolnili się od literatury, szerzącej kult użycia zmysłowego, pozorowanego filozofją socjalistycznego bajronizmu. Dusza chce wybrnąć ze stanu suggerowanego jej bankructwa i likwidacji, chce żyć na nowo. Poeci, szukający trwałego lądu, są jak gołębie puszczane na świat z pudła literatury, czy już skończył się potop kultu podczłowieka.

Utwór Perzyńskiego nie stracił nic tak pożądanej na scenie jaskrawości przez to, że doszukuje się wartości człowieka. Jest to jedno z najefektowniejszych widowisk od pierwszej sceny do końca, trzymające uwagę słuchacza na łańcuchu wartkich wydarzeń i djalogów. Trudno nie spostrzec, że w porównaniu z aktem pierwszym, eksponującym sprawę w sposób mistrzowski na tle kawiarni, następne są w barwie psychologicznej odmienne, jakby pobieżniej traktowane. Ale też przyczyna różnicy jest wyraźna. W akcie pierwszym motywem sensacji dramatycznej był głód, a ten motyw potem znika. Widzowie nie zdają sobie sprawy, ile waży na ich wrażliwości sama elementarność tego motywu. Autor, usuwając ten motyw, musiał efekt następnych aktów stosunkowo zubożyć. Gdyby Hamsun w swoim „Głodzie“ nakarmił w drugim rozdziale swego bohatera, powieść nie byłaby tak gorączkowo czytana.

Współpracownikiem głównym autora na scenie był znakomity Jaracz, w roli Siewskiego. Darzono go oklaskami w czasie gry nawet mimicznej. Reszta załogi blasku Jaraczowego nie ćmiła. Pan Myszkiewicz w roli Kozłowskiego nie miał wnętrza, trącił imitacją tekturową. Pan Tadeusz Frenkiel nie umie jeszcze gubić w sobie aktora; zamiast grać, naśladuje, ale jest pomysłowy. Pani Jaroszewska traktowała pannę Halinę bez artystycznej przeróbki. P. Majdrowiczówna, której Perzyński darował jedną efektowną scenę za parę trudnych, była pełna wdzięku. Porządnie wykonała swoją partję p. Jarszewska w zastępstwie p. Ordon-Sosnowskiej.

Perzyńskiego przyjmowano owacyjnie.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

Walter Scott. Rob Roy, Powieść historyczna z XVIII wieku. Przetł. Teresa Swiderska, ilustr. A. Gawiński. Poznań 1926. Księg. św. Wojciecha. Str. 490 (w oprawie).

Zofja Rogoszówna. Wesoły Ludek. 12 opowieści dla małych dzieci z 12 obrazkami, A. Gramatyki - Ostrowskiej, Lwów 1926. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

Leopold Caro. Myśli Japończyka o Polsce. Lwów 1926. Tamże, Str. 147.

Józef Ujejski. Listy Norwida do A. Cieszkowskiego i Z. Krasińskiego. Lwów. Tamże, Str. 43.

Wacław Mejbaum. Podstawy narodowego myślenia i narodowej polityki. Lwów 1926. Nakładem Biblj. Zespołu Stu. Str. 36.

Wanda Miłaszewska. O złoty włos, Powieść. Poznań 1927. Nakładem ks. Św. Wojciecha.

Stanisław Szpotański. Bez słońca. Tom III i IV. Biblj. dzieł wyborowych.

Władysław Tarnawsk . Z Anglji współczesnej. Pięć szkiców. Lwów 1927. Wyd. Zakładu im. Ossolińskich str. 460.

Stan. Rutkowski. Odsiecz Lwowa w listopadzie 1918 r. Lwów 1926. Tamże. Str. 32.

Stan. Zajączkowski. Władysław Łokietek. Lwów 1926. Tamże. Nasza Biblj.

Jan Rogowski. Mazurzy pruscy. Lwów 1926. Tamże Nasza Biblj.

Wacław Komarnicki prof. un. O zmianie konstytucji polskiej. Wilno 1927. J. Zawadzki. Str. 68.

NA MARGINESIE

Najwierniejszy, najściślej z obozem „przewrotu“ złączony organ „Związku Naprawy Rzeczypospolitej“, tygodnik „Przełom“ (Nr 22) tak określa nasze obecne położenie wewnętrzne: „Żywioły komunistyczne w Polsce pracują... Ostatniemi czasy akcja tych panów zaczynać wykazywać poważne ożywienie... Zwłaszcza na terenie naszych kresów Wschodnich coraz to wychodzą na światło dzienne nowe dowody, iż agitacja komunistyczna operuje znowu napływem gotówki i różnego rodzaju pomocą z Moskwy“. Artykuł kończy się konkluzją, że „komunizm... czyni niewątpliwie postępy“.

A może myśl organizowania narodu nie jest jednak w dzisiejszych warunkach taki całkiem nieuzasadniona...

*

„Głos Prawdy“ (dziennik) szumnie i uroczyście ogłasza, że rozpoczyna druk nowej powieści mistrza (Wielkiego Wschodu?) Andrzeja Struga. „Powieść ta — czytamy w zapowiedzi — oparta na powojennych stosunkach, daje obraz skomplikowanej psychologji człowieka, obciążonego balastem ciężkich przewinień i ich nieuniknionych konsekwencyj. Jest ona zatem „dziejami grzechu“ mężczyzny“.

Skądinąd czytamy, że w teatrzyku „Eldorado“ „program p. t. „Dzieje grzechu... mężczyzny“ zdobył całkowicie premjerową publiczność, która darzyła rzęsistemi oklaskami doskonałych wykonawców“.

Czy nie „zawiele dwa grzyby w barszcz“?.

*

Między „Głosem Prawdy“ majowej a opinją publiczną odbywa się taka wymiana myśli:

— Przecież to wszystko kłamstwo!

— Przepraszam — mówi „Głos“ — nie wszystko.

Kiedy daję słowo honoru, to istotnie zawsze kłamlę, ale kiedy mówię „jak marszałka kocham,“ to — słowo honoru — prawda.

*

Z sentencyj „Czasu“ krakowskiego (dosłownie):

— „Czy akcja Obozowa (Dmowskiego) może liczyć na powodzenie?“ — zapytuje p. Zadora. I tak sobie odpowiada:

— „Do pewnego stopnia tak, bo nieobliczalność jest nagminną chorobą niemałej liczby naszych współziomków“.

Jeszcze trudniej, współziomku, liczyć na sens przy nieobliczalności pustego słowa.

*

Jednym z argumentów A. Słonimskiego przeciwko wielkości Słowackiego jest zarzut nie-oryginalności pomysłów. Warto przypomnieć, że J. N. Miller, na którego opinję powołuje się w tym p. Słonimski napisał w 1-szym numerze „Czartaka“ recenzję „Teatru w więzieniu“, w której wykazał, że wszystkie niemal szczegóły tej powieści Słonimskiego są plagjatem z Wellsa i innych autorów.

Jako pierwszy numer „BIBLIOTEKI MYŚLI NARODOWEJ“ wyszły „Mowy Mussoliniego“ w przekładzie senatora Wł. Jabłonowskiego i z jego przedmową. Dla zrozumienia faszyzmu, jako prądu odrodzenia narodów i państw, poznanie stanowiska Mussoliniego z jego mów jest niezbędne. Sen. Jabłonowski wybrał 12 najbardziej typowych przemówień. „Myśl Narodowa“ wydała je w taniem wydaniu (Cena zł. 2.50). Prenumeratorzy „Myśli Narodowej“ kosztów przesyłki nie ponoszą.

W Administracji „Myśli Narodowej“, — za specjalną zniżką dla prenumeratorów — są do nabycia następujące dzieła:

R. Dmowskiego: Polityka polska i odbudowanie państwa za 5 zł. (zamiast 10), Anglja powojenna i jej polityka — zł. 1.80, Kwestja robotnicza wczoraj i dziś — 50 gr., Z. Wasilewskiego: O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej — zł. 1.20, Proces Lednickiego — zł. 5, (zam. 10), Z życia poety romantycznego — zł. 1.20. Ceny łącznie z przesyłką.

PIWA PORTER

POLECA:

HABERBUSCH

i

SCHIELE S. A.

WARSZAWA

LEMONIADY WÓDKI

POLSKA SPÓŁKA DRZEWNA

„CENTURY“

Sp. z ogr. odp.

KOPERNIKA 30, TELEFON 145-68 i 404-58.

Adres telegraficzny — CENTIMBER.

Eksploatacje leśne:

Białowieża,
Grodno,
Bakszty.

Tartaki:

Haynowka,
Grodek,
Stoczek,
Jeziory.



ODKURZAJCIE
„VAMPYREM"!

Żądajcie bezpłatnych i nieobowiązujących do kupna demonstrancyj we własnem mieszkaniu!

Powszechne Tow. Elektryczne
„AEG"
oddział odkurzaczy i froterek elektrycznych
WARSZAWA, KRAK.-PRZEDMIEŚCIE 16/18
Telefony: 31-47; 61-60 i 69-96.

„VAMPYR"
NIEZBĘDNY DO ODKURZANIA!

Torpedo
dol. 1050
„ 1150
„ 1250

Karetka kombinowana
dol. 1200
„ 1300
„ 1400

loco granica: czeski Cieszyn

Nowy typ sześciocylindrowy
8/45 H. P. nadszedł

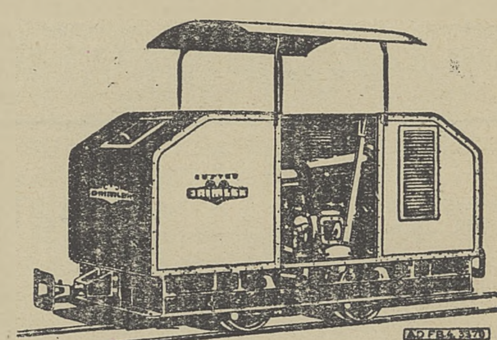
WARSZAWA, Al. Jerozolimskie 14.

Państwowa wytwórnia aparatów telegraficznych i telefonicznych
Warszawa - Praga, ul. Grochowska 30.

TELEFONY:

Zarządu	Działu Zakupów	Działu Technicznego	Buchalterji
30-07	30-00	15-24	143-30.

Aparaty telefoniczne i łącznice (centrale)
dla linij publicznych, wojskowe i kolejowe
Aparaty telegraficzne juzowskie
Aparaty telegraficzne morzowskie
typu pocztowego i k[illegible]iowego.
Słuchawki radjowe
Bezpieczniki, przełączniki, odgromniki i t. p. Aparaty prądów słabych, oraz części składowe do wszystkich powyższych aparatów. Bieguny metalowe do ogniw galwanicznych.



SAMOCHODY
LOKOMOTYWY
I DREZYNY MOTOROWE
AUSTRO-DAIMLER
BIURA SPRZEDAŻY:
Warszawa, Wierzbowa 6.
Poznań, Św.-Marcin 48.
Kraków, Sławkowska 11.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM